

Cecylia Błońska

## SESJA D W U WIELKICH ROZNIK

ZODDALI słycać było jeszcze odgłos strzałów. Wyzwolieli Armia Radziecka weszła do Łańcuta. Żołnierz w mundurze, na którym znać było wojenne trudy, zawiesił nad wejściem do zamku Potockich napis: „Własność narodu polskiego”. Tu szczególnie uroczyste obchodzono zakończenie realizacji dekretu o reformie rolnej. I wtedy po raz pierwszy w życiu wielu robotników rolnych, z czworaków, z żonami i dziećmi weszło na wspaniałe sale łańcutkiej rezydencji.

Tak to historia najnowsza znaczyła swoje zwycięskie etapy, przywracając społeczeństwu dobra, które przez wieki całe zdobywał feudał z potu i trudu ludu pracującego. Tu też, w sali lustrzanej Muzeum Zamku w Łańcutie, w dniach 15 i 16 listopada br. obradowała sesja popularnonaukowa poświęcona przodującej roli PPR w ogólnym ruchu oporu przeciwko hitlerowskiemu okupantowi na Rzeszowszczyźnie.

Wielką salę do ostatniego miejsca zapelnili dluoletni działacze partii i jej organizatorzy, uczestnicy oddziałów partyzanckich z okresu minionej wojny. Ci, którzy do dziś dzierżą prym w pracy politycznej, społecznej i gospodarczej na ziemi rzeszowskiej, i ci, którzy walcząc tutaj z faszystowskim najeźdźcą, współdziałając w organizowaniu pierwszych ogniw władzy ludowej, odeszli później na ziemie zachodnie, oddali swój trud zagospodarowaniu terenów odzyskanych. Obok weteranów, miejsca zajęła młodzież ze szkół, w harcerskich mundurkach, by pilnie przysłuchiwać się tej żywej lekcji historii.

Sesja, jak podkreślił w zagajeniu sekretarz KW PZPR tow. Stanisław Ryba, nawiązuje do dwu wielkich rocznic — XXV rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej i 50-lecia Wielkiego Października.

Członek KC, I sekretarz KW PZPR tow. Władysław Kruczek w referacie pt. „PPR na Rzeszowszczyźnie na czele ruchu oporu w walce o narodowe i społeczne wyzwolenie w latach 1939—1945” szeroko podkreślił moment walki wręcz z najeźdźcą hitlerowskim, do jakiej nawoływała i konsekwentnie prowadziła Polska Partia Robotnicza, zyskując poparcie nekane go, udrczonego, dziesiątkowanego narodu. W referacie, w oparciu o źródłowe materiały scharakteryzował działalność

partii politycznych tzw. obozu londyńskiego na Rzeszowszczyźnie: Stronnictwa Ludowego, WRN, aż po AK i Stronnictwo Narodowe NOW.

„Przedstawiliśmy — mówił w zakończeniu tow. Kruczek — obraz terroru i gwałtu, stosowanego przez okupanta wobec ludności Rzeszowszczyzny. Na podstawie dokumentów archiwalnych ukazałmy bohaterką walkę narodu przeciwko hitlerowskiemu Niemcom. Wskazaliśmy, że walka ta mogła być bardziej owocna, jeśli doszłoby już w okresie okupacji, na Rzeszowszczyźnie jak i w całym kraju, do utworzenia szerokiego frontu narodowego na czele z klasą robotniczą i PPR do walki z hitleryzmem, o Polskę wolną i demokratyczną. PPR — rewolucyjna partia klasy robotniczej, była jedyną partią, która interesy narodu reprezentowała, gdyż od pierwszych dni swej działalności, kierując się dobrem narodu nawoływała i mobilizowała wszystkich patriotów do walki z hitleryzmem w oparciu o sojusz i przymierze z ZSRR i Armią Radziecką”. Kilkudziesięciostronicowy referat prezentował bogate źródłowe materiały: aneks bibliograficzny obejmuje 45 pozycji, z czego większość zgromadził Referat Historii Partii KW PZPR — główny organizator sesji, z którym współdziałało Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Rzeszowie, Zarząd Okręgu ZBoWiD, Komitet Obywatelski Ochrony Miejsc Walki i Męczeństwa i in.

W RELACJACH dyskutantów na nowo odżyły lata walki. Reprezentowali rozmaite ugrupowania i orientacje polityczne tamtego czasu. Z perspektywy ćwierćwiecza powracali pamięcią do minionych wydarzeń i konfliktów. Nieodwracalnie rozstrzygnięta je historia, wieńcząc zwycięstwem koncepcje nieprzejednanej walki o wyzwolenie narodowe i społeczne, którą powstająca w mrokach okupacji partia wypisała na swych sztandarach.

Wnosząc swoje uwagi do referatu programowego, korektury dotyczące niektórych relacji bitewnych, postulując o bardziej szczegółowy rejestr nazwisk tych, którzy oddali swe życie w nierównym boju z okupantem, towarzysze podkreślali, iż nie chodzi im bynajmniej o to, by ich własny trud czy zasługi znalazły pełne odzwierciedlenie w materiałach, które wejda w

skład obszernej monografii.

Z jaką uwagą słuchano wystąpienia generała Franciszka Książarczyka, komendanta krakowskiego obwodu Armii Ludowej, a po wyzwoleniu Wojewódzkiego Komendanta MO w Rzeszowie. Mówił o ciężkich, specyficznych warunkach Rzeszowszczyzny, wybitnie nie sprzyjających tworzeniu wielkich jednostek partyzanckich i opowiadał jak mimo tych trudności, rozwinęła się walka.

Była niezbędna, stanowiła jedyny ratunek by chronić społeczeństwo przed zagładą, zgotowaną mu przez faszystowskiego najeźdźcę. Akty terroru, masowe egzekucje nie były bynajmniej, jak usiłował to poprzez swoje agendy sugerować emigracyjny rząd londyński, wywołane „nieposłuszeństwem” podbitego kraju. Stanowiły główny element bestialskiego planu wyniszczenia całego narodu polskiego.

Pełne okrucieństwa, nienawiści i pogardy do Polaków były pamiętniki gubernatora Franka, które cytował przewodniczący Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich tow. mgr Jachczyk. Przemowny gubernator z góry zwalniał od wszelkiej prawnej odpowiedzialności, od jakichkolwiek jej pozorów, tych wszystkich, którzy zbrodniom, ewakuacjom, łapankom, obozom zagłady nadadł mieli w Polsce pełny rozmach.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Wojciech Kawiński

## MALEJĄ ŁADY...

Odchodzą drogi  
Wyparowują rzeki maleją łady  
Których nigdy nie będziemy oglądać

I tylko mała altana w ogrodzie  
I ciemny głos  
I ziarno ciepła w tamtych oczach

To pozostanie  
W mgle co się spopiela  
I zakrywa chmury

Moskwa, VIII. 1967

Piotr Żbikowski

## ZABAWY

Dzieci lubią czasem krzyżować żaby i topić koty  
Ciekawe ogromnie jak lży strachu pachną zwierzęce  
Potem odchodzą  
Nasycone i senne  
Z niepewną zadumą w oczach  
I bezradnym opuszczeniem spoconych rąk

W nocy  
Mają niespokojne sny o zapachu wczesnych pragnień  
Śnią o złowrogiej bieli kobiecych kolan  
I czarnych plerynach szlachetnych zorro  
Zabijają wrogów  
O czarnym pisku kotów i zielonym spojrzeniu żab  
A rano  
Budzą się bezpieczne  
Wymyte przez marzenia  
W ciepłym promieniu matczynych włosów

J  
E  
S  
I  
E  
N

Fot.  
UCHYMIAK





Justyna Woś

# MEKKA POLSKICH HUMANISTÓW



nuując tradycje Zakładu; przejęła wszystko co służyć powinno poznaniu przeszłości narodu i rozwojowi współczesnej myśli naukowej. Wydawnictwo, podzielone na redakcje wg. dyscyplin nauki — skupia autorów i edytorów interesujących się problematyką historii, literatury, archeologii, etnografii, filozofii, prawa, sztuki i kultury.

Mówiąc o Bibliotece-Ossolineum, myśli się przede wszystkim o wspaniałych księgozbiorach, które według obliczeń z 31 XII 1966 r. — skompletowano w 699 140 tomach. W tym, zbiorów specjalnych, do których zalicza się rękopisy, stare druki, grafiki, zbiory numizmatyczne — określa liczba 274 904 jednostek. Niezmiernie interesującymi zbiorami Ossolineum są rękopisy. Wśród nich na pierwszy plan wysuwa się „Pan Tadeusz” Mickiewicza. Ograniczając się do najważniejszych, chcę także wymienić autografy Słowackiego i rękopisy najbardziej znanych komedii A. Fredry — „Słubów panińskich”, „Pana Jowialskiego”, „Zemsty”, „Pana Geldhaba”. Od 1920 r. na mocy umowy z rodziną Henryka Sienkiewicza, Ossolineum zastrzegło sobie na kilkanaście lat wyłączne wydawanie dzieł tego autora. Z tym wiąże się również fakt zgromadzenia rękopisów „Ogniem i mieczem”, „Quo vadis”, „Krzyżaków” i fragmentów innych. Bogata, bo w około 30 tomach reprezentowana jest spuścizna rękopiśmienna Reymonta. Nie zabrakło również fragmentów rękopisu „Chłopów”.

Z najnowszych zdobyczy z zakresu literatury współczesnej warto odnotować kilka autografów ofiarowanych przez J. Parandowskiego, kilka listów z wierszami W. Broniewskiego oraz K. I. Gałczyńskiego. Tyle w największym skrócie, można powiedzieć o bezcennych zabytkach polskiej kultury.

### Współcześni „Ossolińscy” z Rzeszowskiego

Nie można nie powtórzyć raz jeszcze, że półtorawieczna instytucja nosi imię człowieka z Woli Mieleckiej, że równoległe z rozwojem i bogaceniem zbiorów Zakładu Narodowego, rodziła się historia ludzi, bez których nie moglibyśmy mówić o tym, co reprezentuje Ossolineum w nauce i kulturze. Wielu oddanych Ossolińczyków wywodzi się z odległej Rzeszowszczyzny. Znaleźli się we Wrocławiu — jak to żartobliwie określili jeden z nich — bo kierował się zasadą: „Albo mnie potrzebne było Ossolineum, albo ja potrzebny byłam w Ossolineum”. Bez względu na to, który czynnik był pierwotny, a który wtórny w podjęciu decyzji — teraz powiedzieć można, że oba są równie ważne. I nie będzie w tym absolutnie przesady.

Chcę przedstawić czterech Ossolińczyków-rzeszowian. Nie uwzględniłem zatem wszystkich, którzy z tym zakładem są żywo i mocno związani.

„...Gdy przeczytałem notatkę w prasie o przeniesieniu Ossolineum do Wrocławia, pracowałem w Sanocekim Muzeum Budownictwa Ludowego. Nie mogłem się długo

namyślać... i oto jestem tutaj” — mówi dr Adam Fastnacht, obecnie kierownik Działu Rękopisów. A w Ossolineum zaczął od wypakowywania zbiorów. Potem przygotował Katalog Biblioteki Zakładu Narodowego, pod jego redakcją opracowano również „Inwentarz Rękopisów”. Pełniąc odpowiedzialną funkcję, znajduje czas na prace — dotyczące własnego regionu. W ostatnim „Roczniku Sanocekim”, znajduje się publikacja A. Fastnacha „Bieszczady” w relacjach pamiętnikarskich z XIX w.”

„...wszystkie rękopisy przechodzą przez moje ręce; to co ciekawe i rodzime, nigdy nie ujdzie mojej uwadze. Z przyjemnością poświęcam się pracy badacza przeszłości... Ci, którzy słusznie oceniają wartość prac naukowo-badawczych A. Fastnacha, często zwracają się z prośbą o pomoc. Ostatni przykład: „Ojcowie” Leska powierzyli przygotowanie monografii miasta (500-lecie istnienia) — właśnie temu Ossolińczykowi.

Zainteresowanie rozwojem rodzimej kultury, uwidacznia się również w pracach dr Józefa Szczepańca. Dla miłośników Przemysła, niemałą atrakcją będzie przygotowywana publikacja „Dzieje książki w Przemyslu w XVIII w.”. Skąd zainteresowania Przemysłem? „...Tam zdałem maturę, jestem związany z tym miastem...”. Studia polonistyczne odbył na Uniwersytecie Wrocławskim, pracę w ogóle i pracę naukową rozpoczął w Ossolineum. Zainteresowanie książką, drukarstwem i doskonałą znajomością przedmiotu zadecydowały o jego kierowniczej roli w Ossolińskim Dziale Starych Druków.

W całokształcie prac Wydawnictwa-Ossolineum, wrócono do rozpoczętej jeszcze przed wojną edycji Dzieł Wszystkich Słowackiego pod red. J. Kleinera. Po jego śmierci w 1957 r. kontynuuje zadanie prof. Floryan. Dotąd opracowano XV tomów. Jako jeden z najtrudniejszych w przygotowaniu okazał się „Król Duch” — przewidywany w zawartości XVI tomu. Fragmentaryczny i luźny rękopis jest codziennie na biurku dr Jana Kuźniara, który zobowiązał się ukończyć i przygotować do druku to dzieło do 1970 r.

Na co dzień p. Kuźniar kieruje redakcją Wydawnictw Specjalistycznych, ujmując lapidarnie — dokumentarycznych, do których stosuje się specjalną technikę fotograficzną. Celem tego wydawnictwa jest wierne przekazanie z każdym błędem tekstu, na podstawie pierwodruku czy nawet rękopisu. Mówi się, że edytorstwo dokumentarne jest najtrudniejszą, a zarazem najlepszą redakcją Ossolineum. Na tę uwagę „łańcutczanin” — dr Kuźniar, tylko się uśmiechnął. Znaczenia uśmiechu nie trzeba chyba wyjaśniać.

Ciekawą i odpowiedzialną funkcję w Wydawnictwie pełni również były absolwent gimnazjum w Łańcutcie — mgr St. Drewniak. Nie mówił wiele o sobie. Jako specjalista-językoznawca, z zapa-

łem opowiadał o pracy swojego działu i jego interesujących edycjach — jakimi są słowniki. M. in. wspomina o jednym z największych przedsięwzięć: Słowniku polszczyzny XVI w. pod red. Mayenowej — obliczonego na 20 tomów. Wśród budzących szersze zainteresowanie wydawnictw znajdują się wkrótce „Słownik nazw osobowych” Taszyckiego i „Podręczny słownik staropolski” St. Reczka. Aby uzmysłowić sobie rolę redaktora-językoznawcy, trzeba widzieć luźne stosy druku, które nim się dostaną do rąk czytelnika zostają dokładnie opracowane edytorsko. A na to trzeba dużej znajomości i kon-

sekwencji w postępowaniu wydawcy.

W ciągu kilkuletniej pracy dr Drewniak niejednokrotnie zyskał sobie wiele uznania.

\*\*\*

Docierające do czytelników książki z ossolińskim sygnetem, są jak każde inne, ostatecznym produktem długiej i skomplikowanej pracy wielu ludzi: autorów, edytorów, drukarzy... Wśród nich znajdują się nazwiska tych, których wymieniono w tym po-  
bieżnym szkicu.

## SESJA

(dokończenie ze str. 1)

Z perspektywy lat, już tylko zmierzchniętym bilansem wydać się mogą cyfry z referatu J. Petrusa o stratach gospodarczych i ludnościowych na Rzeszowszczyźnie, spowodowanych eksterminacyjną polityką okupanta w latach 1939—1945. Tysiące starców, mężczyzn w sile wieku, kobiet, młodzieży, dzieci, rozstrzelanych, spalonych, straconych, zagnanych do obozów śmierci...

Wielu dyskutantów, nie ufając może własnym słowom, że zbyt słabo oddać mogą napięcie, tragiczne bohaterstwo tamtych lat, oddawało głos dokumentom, listom, grypsom zachowanym z więziennych cel... „Zosiu, w twoje imienniny byłem przesłuchiwany 13 godzin, ale nie zdradziłem nikogo” — pisał pojmany przez Niemców członek tajnej organizacji harcerskiej. „Mamusiu — prosił dalej w przemymnym z więzienia liście — nie rozpaczaj, nie ty jedna straciłaś syna. Umrę jak Polak, z uśmiechem na ustach”. Wyrok głosił, iż został rozstrzelany za robotę wywrotową.

Gdziekolwiek docierała partia, do podkarpackiego zagłębia naftowego, do tarnobrzeskich wiosek, do zasańskich przysiółków wywrotowa robota rzucała strach na butnych przedstawicieli „rasy panów”, przysparzała potrzebnych pieniędzy, niezbędnej broni oddziałom partyzackim. Zapalała iskrę nadziei.

Z iskry płonąć poczęło jasne, ciepłe światło, niosące nadzieję coraz bliższego wyzwolenia, gdy na teren nasz zaczęli się przedzierać radzieccy żołnierze zbiegli z niemieckiej niewoli i ci, którzy zdołali przedostać się przez front, by walczyć na naszej ziemi, przyspieszać dzień ostatecznego zwycięstwa.

A że sesja odbywała się w dniach w których cały postępowy świat święcił złoty jubileusz Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Paź-

dziennikowej, wiele udokumentowanych historycznymi materiałami wspomnień uczestnicy poświęcili radzieckim towarzyszom walki.

„...Zbiegli z Niemiec, ich dowódca miał pseudonim „Alosza”. Było ich dwunastu żołnierzy radzieckich, walczyli wspólnie z partyzantką na terenach zasańskich. Dzięki tym walkom osłabił morderczy wywóz drewna, wyniszczający polskich robotników w lasach zagrabionych przez hitlerowski obszar. Dzięki nim mogliśmy skutecznie walczyć z grabieżczymi kontyngentami” — mówił ob. Młynarski reprezentujący Obwodową Komisję Historyczną ZBoWiD.

„...Kapitan Iwan Woronow przewodzący grupie, która znalazła się pod Dobrzechocem, szybko zaskarbił sobie sympatię i zaufanie chłopów. Przechowywali go zanim z bochenkiem chleba i z dwoma granatami poszedł walczyć dalej. Wrócił później na ten teren, zrzucony ze spadochronu, w ślad za nim nastąpił drugi zrzut i walczący oddział polski otrzymał od nich wiele broni”...

„Oddział samodzielnego żołnierza radzieckiego działał na Podkarpaciu w zasięgu kopalni nafty grabionych przez hitlerowskich złodziei Wechera i Schustera. Oddziałowi przewodził Igor Lebediew — pseudo „Gruzin”...

Wszystkie te materiały ukażą się w źródłowej monografii, przygotowywanej przez Referat Historii Partii KW. Pragniemy — powiedział sekretarz tow. Wł. Krucecz — by jako do podręcznika dziejów oczyszczonych sięgała do niej młodzież. „Niech wie i pamięta o tym zawsze, mówił jeden z uczestników sesji, — że Polska Ludowa nie przysłała łatwo, że kosztowała wiele istnień ludzkich”.

Niech stanowi chlubny dokument naszych zwycięstw. Tym zaś, którym marzyły by się kiedyś nowe wojny i podboje, groźnym niechaj będzie ostrzeżeniem.

CECYLIA BŁONSKA



# JÓZEF KAPUŚCIŃSKI

Niedawno, bo zaledwie przed dwoma laty obchodził 70-lecie swoich urodzin, które ludowa prasa kulturalna skwitowała skromnymi artykułami przypominającymi jego długoletnią działalność społeczną oraz twórczość poetycką. Wcześniej jeszcze, w roku 1963, w serii Lubelskiej Biblioteki Ludowej ukazał się tomik jego poezji pt. „Niezapominajki”, będący wyborem najlepszych jego wierszy.

Twórczość poetycka Józefa Kapuścińskiego, nestora pisarzy chłopskich Rzeszowszczyzny, stanowi most między pisarstwem dawniejszej generacji chłopskiej a obecnej, która dzięki możliwości łatwiejszego startu literackiego w rzeczywistości Polski Ludowej nie jest już tylko wyrazem stanu chłopskiego, lecz szybko włącza się w nurt literatury narodowej — była tylko marginesem obfitej działalności społecznej tego niezłomnego człowieka.

Józef Kapuściński, urodzony 2 lipca 1895 roku w Lipnikach, był piarzem samorodnym. Wszystko, co osiągnął, zdobył usilną i wytrwałą pracą nad sobą. Nie miejsce tu przypominać jego ciekawą biografię, którą można znaleźć w wydrukowanym anonimowo życiorysie zawartym w „Życiorysach inteligentów” drugiego tomu serii „Wiejskich działaczy ludowych” (1938). Swoje narodziny jako samorodnego pisarza chłopskiego przedstawił w opublikowanych w roku 1947 „Cierńskich ścieżkach literatury ludowej”, których, niestety, jak dotąd tylko tom pierwszy ujrzał światło dzienne. W rymowanej swojej biografii pisał o swoim rodowdzie:

*Z przodków, wśród których wielu  
zabił głód  
i kołysała do snu wciąż niedola,  
z nich się wywodzi, bracia, mój  
rodowód,  
moją metryką zagony i pola.*

*Ani dwór biały, ani miękkie łożo  
małego dziecka nie pieściły chwilę,  
gdym pasał bydło — tylko wiatry  
boże  
śpiewały w uszy: tyś naszym  
pupilem.*

*Twardy chleb żytni i barszcz  
zabielany  
za dzień mi były przysmakiem  
nie lada,  
zawsze w jesień, gdym szedł  
nieodziany,  
śmierć w moje oczy zaglądała  
blada.*

*Rostłem wśród trudów, niewygód,  
niedoli,  
Nieznanym światów szukając w  
błękiecie.*

*Bo znam ból braci i co ich tak boli,  
Znam wieś do głębi i jej smutne  
życie.*

Aby to „smutne życie” chłopskie uczynić znosijszym i lepszym, swoją pracą zwłaszcza w dziedzinie spółdzielczości, służył społeczności: tej najbliższej z okolic Przemysła i dalszej, całego kraju. Działalność Kapuścińskiego związana była głównie z powiatem przemyskim i jego stolicą, gdzie po wojnie zamieszkał. Mieszkańcy Przemysła znali Kapuścińskiego jako człowieka zajmującego szereg odpowiedzialnych funkcji w organizacjach spółdzielczych i instytucjach społecznych. Pracował w Stronnictwie Ludowym, był uczestnikiem strajku chłopskiego w roku 1937. Ślady jego działalności widać w obfitej i rozlanej po licznych pismach chłopskich i kulturalnych publicystyce kulturalno-oświatowej i gospodarczej, która stale towarzyszyła jego pracy. W publicystyce tej znalazły odzwierciedlenie nie tylko bolączki i osiągnięcia gospodarstwa i kulturalne powiatu oraz jego mieszkańców. Kapuściński bowiem był działaczem społecznym i pisarzem, który swoją publicystyką i poezją służył najpierw sprawie odzyskania niepodległości, później walczył o podniesienie stopy życiowej i kultury ludności wiejskiej. Jedną z podstawowych form, która miała się do tego przyczynić, była jego zdaniem spółdzielczość: spółdzielcze tematyce poświęcił jeden ze swoich wierszy: „Oto stałe spółdzielcza gromada...”, który potem dzięki dorobionej melodii obiegł cały kraj i stał się hymnem spółdzielczym oraz ulubioną pieśnią młodzieży wciowej.

Jako nieodrodny syn chłopski, dążący do poprawy bytu swojej klasy społecznej, postulował ukazanie całemu narodowi dorobku piśmien-

nictwa chłopskiego, które w „Cierńskich ścieżkach literatury ludowej” nazywał literaturą ludową. Kapuściński był chyba pierwszym, który już w roku 1913 podniósł myśl wydania zbiorku poezji chłopskiej. O uznanie samorodnego pisarstwa chłopskiego zabiegał usilnie, eksponując w nim przede wszystkim twórczość pisarzy Rzeszowszczyzny, którym poświęcił szereg artykułów. Dowodem tego obfite korespondencja z nimi, którą jako źródło podał w „Cierńskich ścieżkach literatury ludowej”. Niestety, na skutek niezrozumienia ówczesnej elity rządzącej jako też ówczesnych władz stronnictw ludowych, starania Kapuścińskiego w tym zakresie dopiero późno zostały uwieńczone sukcesem: jego „Cierńskie ścieżki literatury ludowej” zostały wyprzedzone przez K. Konińskiego „Pisarzów ludowych” (1938) i Stanisława Pigonia „Zarys najnowszej literatury ludowej” wraz z chrestomatią tekstów pisarstwa chłopskiego (1946—1948).

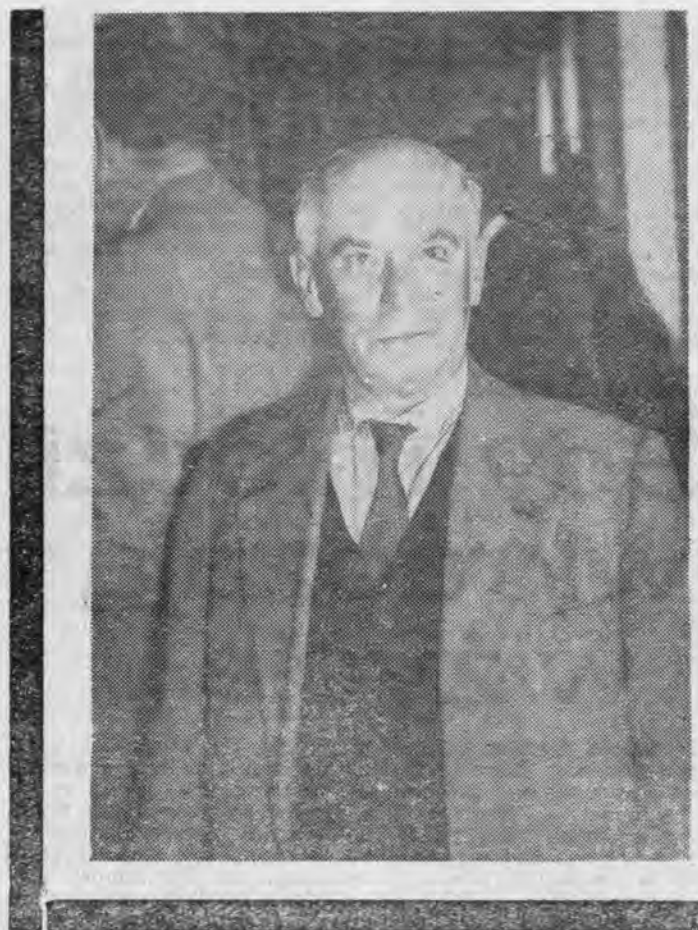
Równocześnie z zabiegami o wydanie antologii piśmienictwa chłopskiego Kapuściński, gdzie tylko mógł, starał się ułatwić pisarzom chłopskim ich start literacki i możliwości druku ich utworów, tym bardziej, że bojkotowane one były przez społeczność i literacką prasę oficjalną. On inicjował myśl postawienia pomnika Ferdynandowi Kurasiowskiemu, on redagował i podpisywał wraz z W. Brewiczem liczne odezwy w sprawie zorganizowania związku literatów ludowych oraz wydawania dla nich specjalnego pisma. Te działania wokół losów samorodnego pisarstwa chłopskiego cenili sobie najwięcej: „myśl wydania antologii ludowych pisarzy i własnego Towarzystwa Ludowych Pisarzy jest moją pierwszą myślą”.

Jak już powiedziano, poezja pozostawała w cieniu działalności społecznej Kapuścińskiego. Samorodnym poetą ludowym został on przypadkowo. Rozczytując się w latach chłopcych w Słowackim (którego zresztą w ogóle nie rozumiał) i poezji Konopnickiej napisał nawet na cześć pierwszego specjalny wierszyk, który jednak nigdy nie ujrzał światła dziennego. Na czytaniu utworów poetów polskich uczył się techniki rymowania i składania wierszy. „Pasać krowy, słuchając śpiewu ptaków i szumu łąnow zbóż, zdawało mi się, — pisał później o sobie — że ptaki śpiewają wierszem, że zboże szumi taką pieśnią, jak w kościele organ gra. Te wiersze prześladowały mnie na każdym kroku i moim było marzeniem jaki wierszyk napisać”. Owo marzenie urzeczywistniło się w roku 1910: posłany na konkurs „Roli” wiersz, aczkolwiek pod kryptonimem, został wydrukowany. Za nim poszły inne, które rozsypane w dziesiątkach czasopism po całej Polsce uczyniły Kapuścińskiego słynnym poetą chłopskim. Z dumą mógł potem powiedzieć: „To, co posiadam ze skarbnicy wiedzy, to zdobyłem własną swoją pracą, i to, co napisałem piórem w chwilach wolnych od pracy fizycznej, jest moim tylko dorobkiem, i tym się tylko mogę pochwalić, że siedłem własną ścieżką do poezji i że moja poezja jest własnym snopkiem zboża z chłopskiego zagona”.

Wybór swoich poezji Kapuściński dał w wydanych własnym sumptem tomikach: „Spód chłopskiego pióra” (Trembowla 1937) i „Chaty w słońcu” (Kraków 1937). Dzięki tym poematom przyjeżdżał do Związku Literatów Polskich.

Wśród wierszy Kapuścińskiego najlepsze są jego liryki, w których poeta wyraził uczucia chłopów związane z ich pracą i życiem na wsi: patriotyzmu ujawniającego się w przywiązaniu do ich ojczyzny wiejskiej, kult pracy wieśniaka, miłość pejzażu wiejskiego. Sam określał siebie jako poetę ludowego: *Poeta ci jestem, poeta ludowy, Piosenka moja prosta, pastusza, Natchnieniem moim ten zagon*

*Cichy szum łąnow i polna grusza.*  
A zostać poetą chłopskim nie było rzeczą łatwą: oprócz sztuki składania wierszy trzeba jeszcze... w wierszach dać swą duszę,  
... w rymy serce włożyć,  
cierpieć za swój lud katusze,  
wrogom serce swe otworzyć.  
Za atrament mieć krew z łązami,  
a za pióro serce w trzewiach,  
Zakląć gromy w cichym śpiewie,  
Cierpieć razem z sierotami.



*Trzeba, bracie, umieć tylko  
taką jaśnieć chwilę, zaletą,  
by być duchem jedną chwilką,  
swego ludu być poetą.*

Czym jest owa chłopska pieśń. Kapuściński wyraził w innym wierszu pt. „Pieśń chłopska”:  
*W chłopskiej pieśni niby w słońcu  
Jest ogień i żar*

*I nieznanne uczuć kwiaty,  
potęga i czar.*  
*W chłopskiej pieśni, w chłopskiej  
duszy*

*Jest zaklęty ból,  
I te szumy zbóż złocistych  
z wonnych naszych pól.*

Miłość ludu wiejskiego, jego pracę oraz marzenia wyraził poeta w takich wierszach jak: „Do polskiej ziemi”, „Wieś polska”, „Ze wsi”, „Błogosławiona wieś”, „Nasza praca”. Jednakże liryka chłopska Kapuścińskiego była także liryką chłopskiego ideału: odzwierciedlała ona nie tylko cierpienia, ale także dążenia oraz dumę klasy chłopskiej. Widać to zwłaszcza w jego apelu — pieśni „Do ludu”:

*Ludu mój wielki, mocarny a cichy,  
wyrwij się, wyrwij się z swych  
starych pęt.*

*Za długo był twój jest czarny  
i cichy,  
za długo byłś jak ostatni sprzet.*

Głęboki humanitaryzm poezji Kapuścińskiego obejmował obok chłopów także i ludzi innych klas i ras: W „Pieśni braterstwa” potępił wojnę i ucisk klasowy i rasowy. Ten humanitaryzm wyraził się także w apoteozie pracy chłopca i robotnika.

W wyrazie siły ludu i uczuć chłopskich liryka Kapuścińskiego czerpała pełną garścią z folkloru oraz z wierszy tych poetów, którzy z folkloru brali swoje tworzywo

literackie. Oprócz Lenartowicza i Konopnickiej wzorem dla autora „Niezapominajek” była liryka Krasinskiego, a przede wszystkim Stanisława Wyspiańskiego. Jeżeli w ideologii wierszy lirycznych Kapuścińskiego znać ślady ideologii „Wesela”, szczególnie młodopolskiej apoteozy tężyzny ludu, to w jej formie — ślady wzorowania się na lirycznych wierszach krakowskiego poety. Zaświadczyć to mogą takie utwory Kapuścińskiego jak: „Budź się lud”, który jest stylizacją „Warszawianki” z dramatu Wyspiańskiego pod tym tytułem pióra Delavigne’a w przekładzie K. Sienkiewicza; „Leć nad Odrą orle biały”, w którym poeta głosi postulat powrotu Polski na prastare ziemie słowiańskie, a przede wszystkim „Mój testament”, który stanowi stylizację dwu liryków ulubionego przez Kapuścińskiego mistrza „Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić...” i „Niechaj nad grobem mi nikt nie płacze...”. Tutaj Kapuściński pragnie, żeby na jego grobie obok dębowego krzyża zasadzono brzoze, która by go kołysała swym szumem:

*W cieniu brzozy wsadźcie kwiaty,  
Te, com pieścił żyjąc z wami,  
Fiołki, lilie i blawaty,  
I konwalie z dzwoneczkami.*

*Niech ich zapach z mną goni  
W zagrobową światła ciszę,  
Gdy konwalia mi zadzwoni  
Polskiej wiary pieśń usłyszę.*

*Raz do roku w dzień ponury  
Niech mogiłę pierś ogryze —  
Niech przez czarne, ciemne chmury  
Słońce wiosną się zaśmieje...*

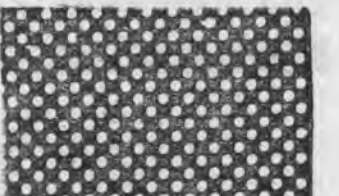
ALEKSANDER ŻYGA

## Pisarze na wsi rzeszowskiej

W dniach od 14—16 listopada br. odwiedzili powiat rzeszowski dwaj wybitni pisarze podejmujący w swej twórczości tematy z życia współczesnej wsi — Jan Bolesław Ożóg i Julian Kawalec. Przybyli do Rzeszowa na zaproszenie Komisji Oświaty i Kultury przy Powiatowym Komitecie ZSL. W dniu 14 listopada da twórcy rozmawiali z aktywnym społecznym i politycznym we wsiach Huskisko, Przewrotne i Budziwój. Dyskutowano na temat perspektyw rozwoju gospodarczego wsi oraz głównych problemów społecznych i obyczajowych współczesności. 15 bm. przed południem odbyło się spotkanie pisarzy z młodzieżą Technikum Mleczarskiego w Rzeszowie, a o godzinie 13 w tym samym dniu w PK ZSL — z powiatowym aktywnym Stronnictwa.

Pobył Jana Bolesława Ożoga i Juliana Kawalca w Rzeszowie zakończył się spotkaniem z grupą nauczycieli wiejskich w dniu 16 XI. Obaj twórcy w całej swojej twórczości żywo interesują się problemami wsi współczesnej, a zwłaszcza wsi rzeszowskiej, z której pochodzą. Te kontakty i rozmowy służyły więc nie tylko popularyzacji twórczości tych pisarzy, ale dostarczą im materiału do nowych utworów.

J. G.



## „Pamiętnik Literacki” o 50 rocznicy Rewolucji Październikowej

Ostatni tom wrocławskiego „Pamiętnika Literackiego”, wydawanego przez Instytut Badań Literackich w oficynie „Osolineum”, zawiera szereg interesujących materiałów związanych z 50 rocznicą Rewolucji Październikowej, dotyczących zwłaszcza kulturalnego dziedzictwa Rewolucji i jej wpływu na polską sztukę. Stefan Żółkiewski publikuje na łamach „Pamiętnika” ciekawą rozprawę o zagadnieniach socjologii w literaturze; Marian Rawiński pisze o literackich polemikach z lat 1918—1932; Marian Stępień przypomina dzieje polskiej krytyki literackiej w Związku Radzieckim w latach 1917—1937.

Ostatni numer „Pamiętnika” przynosi również prace poświęcone poezji rewolucyjnej, m. in. studium o bohaterach powstania styczniowego w polskich pieśniach ludowych i żołnierskich oraz o losach „Warszawianki” i jej autorze Wacławie Świącickim. W tym samym zeszycie zamieszczona jest historia trzech wierszy Władysława Broniewskiego „Pionierom”, „Do towarzyszy broni” i „Zagłębie Dąbrowskie”.

(Kt-PAP)

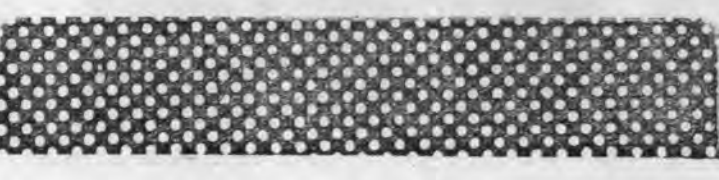
## Kosmiczna telewizja

W Związku Radzieckim zbudowano już 20 przekazników telewizyjnych „Orbita”, służących do odbierania programów Centralnego Ośrodka TV radzieckiej za pośrednictwem sztucznego satelity Ziemi „Mołnia-1”.

Stacje „Orbita” położone są przede wszystkim w odległych rejonach ZSRR. Na Syberię, do Azji Środkowej, na Daleki Wschód, za krąg polarny dostarczone skomplikowane urządzenia: jedna antena „Orbita” waży około 60 ton i trzeba ją przewozić na siedmiu wagonach kolejowych.

Uwzględniając różnice czasu, nowy system łączności telewizyjnej podzielony został na trzy strefy: dalekowschodnią, środkowowschodnią i centralną. Kosmiczna łączność telewizyjna funkcjonować będzie 3—4 razy tygodniowo po kilka godzin. Liczba widzów oglądających na małych ekranach Moskwę wzrośnie o około 20 milionów.

Za pośrednictwem „Orbita” transmitowano defiladę na Placu Czerwonym w Moskwie w dniu 7 listopada i inne uroczystości jubileuszowe z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej.





**WIADOMOŚĆ** o odwołaniu dyrektora Z. wywołała prawdziwą burzę domysłów i spekulacji. Był to pod wieloma względami człowiek wyjątkowy, nieprzeciętnie zdolny organizator. Przez ostatnich kilka lat kierował przedsiębiorstwem znanym w świecie ze swej produkcji, a w kraju — także z inicjatyw ekonomicznych. Dużym prestiżem w zakładzie cieszą się wysoko kwalifikowani robotnicy, którzy wywierają istotny wpływ na kształtowanie opinii załogi. Kilku z nich odeszło z przedsiębiorstwa, gdyż byli niezadowoleni z przeprowadzonych reform. Stojąc wobec sytuacji przymusowej, dyrektor przyjął na ich miejsce absolwentów szkół zawodowych, co pociągnęło za sobą spadek produkcji i obniżenie jakości. Niezadowolone pozbawionej premii załogi zwróciło się przeciwko dyrektorowi, który wkrótce odszedł, i nowo przyjętym pracownikom, którzy pozostali. Kiedy zdobędą oni prawo obywatelstwa w tej społeczności?

Zamiast uogólnień, podam jeszcze parę przykładów. W średniej wielkości przedsiębiorstwie, z przestarzałą technologią i prymitywnymi urządzeniami, utworzono szkołę przyzakładową, bo budowano nowy zakład i przewidywano wzrost zatrudnienia. Starzy robotnicy woleli jednak dawny prymityw, woleli np. oblewani wodą wchodzić do starych pieców niż za naciśnięciem dźwigni automatycznie wybierać produkty. Absolwentów szkoły technika nie przerażała; w trakcie szkolenia zapoznano ich z nowymi urządzeniami, ale wkrótce prawie wszystkich zwolniono. Jeden z kierowników, interpelowany w sprawie polityki kadrowej, oświadczył: Zjednoczenie poleciło sezonowo zmniejszyć zatrudnienie. Kogo więc mieliśmy zwolnić?

Odwiedziłem kiedyś dom młodego robotnika. W jednym z pokoi siedział przy stole czterech chłopców, a na stole sterta pieniędzy, kilka zegarków, srebrna papierosnica, buty z cholewami. Wokół rozgorączkowany kibice, jedni oskuba-

ni do nitki, drudzy czekali na swoją kolejkę. W hotelu nie ma świetlicy, brakuje jakichkolwiek gier czy książek...

Mógłbym opowiedzieć o wielu innych sytuacjach. Np. o chłopcu, który za pierwszą wypłatę postawił majstrowi i jego kumpłom wódkę, a po wypiciu paru kieliszków wywołał awanturę; uprzednio nie był karany, więc odsiadkę sąd zawiesił. A może o niedawnym parobku, który do 18 roku życia nie widział miast? W fabryce pracował tylko 3 miesiące, dostarczając „roz-

**Zdzisław Koziol**

## Gdy młodzi wkraczają w życie...

rywki" całemu wydziałowi, będąc przysłowiową ofertą fabryczną. Zajęli się nim psychiatrzy... A teraz o absolwencie szkoły zawodowej, który podejmując pracę w Hucie „Stalowa Wola” zwrócił się o zezwolenie na rozpoczęcie nauki w technikum wieczorowym. Odmówiono, bo wymagany jest dwuletni staż. Napisał prośbę do Warszawy, uzyskał zgodę, pracuje, uczy się, dojeżdżając 30 km. I tego ostatniego przykładu nie traktuję jako rodzynka, mającego słodzik sytuację wyżej opisaną. Chłopiec wybrał uznaną w tym środowisku drogę awansu: dziś jest robotnikiem, skończy szkołę średnią — będzie technikiem, a potem może pójdzie na politechnikę. To droga awansu dla wytrwałych. A jak sobie wyobraża swój awans, ten motor

ambicji życiowych, młody robotnik, który nie zamierza zostać technikiem?

Sporo mówi się ostatnio o adaptacji młodych pracowników. Pozornie nie jest to zagadnienie trudne. Zdefiniowano już pojęcie adaptacji zawodowej, która po prostu oznacza umiejętność przystosowania się do warunków pracy i środowiska. Określono także niezbędne przesłanki, akcentując m. in. atmosferę w zakładzie, stosunek przełożonych i współpracowników do nowo

rych mówiono swego czasu, gdy modna była humanizacja pracy. Ale dyskusja o humanizacji wynika raczej żywiołowo, adaptacja zaś jest traktowana jako pilne zadanie z uwagi na liczne roczniki młodzieży wstępującej w wiek produkcyjny. Zadanie to nie może być jednak traktowane jako samo w sobie, lecz jako jeden z elementów znacznie szerszego problemu, a mianowicie wychowawczej funkcji zakładu pracy, w ścisłym powiązaniu z tym, co niedawno nazywano właśnie humanizacją pracy.

Mówi się np., że ważnym przejawem morale załogi jest jej stosunek do własności społecznej. Znam zakłady, w których kiedyś złodziej uchodził za człowieka zaradnego, w najgorszym wypadku wzbudającego tylko zazdrość; dziś częściej spotykamy się z potępieniem takiej „zaradności”. Podobno zdaje egzamin zwalniania z osobistej rewizji starszych, zasłużonych pracowników. Zdrową moralnie załogą jest taka, która solidnie, uczciwie pracuje. Młody ekonomista doszedł do wniosku, że z tony surowca można wyprodukować kilkadziesiąt detali więcej. Dyrektor poradził mu jednak nie mieszać się do nie swoich spraw, a współpracownicy wręcz nawymyślali, że działa na szkodę całej załogi. Realizacja planu uzależniona jest bowiem nie od sztuki, lecz toż; produkuje się więc cięższe przedmioty, choć dla użytkownika ważne są tylko sztuki. Zastępca dyrektora powiedział mi: Gdyby zjednoczenie zastosowało inne bodźce ekonomiczne, wówczas te kombinacje byłyby zbędne.

Nie wnikając w szczegóły, można powiedzieć, że metody zarządzania przedsiębiorstwem przynoszą określone skutki społeczne. Na tym tle rodzi się niemało konfliktów, które dotkliwiej odczuwają właśnie młodzi specjaliści. Stoją oni niekiedy przed alternatywą: albo adaptacja do miejscowych zwyczajów, uświęconego przepisami i tradycją porządku, albo nawet zmiana pracy. W tym m. in. dotrą się przyczyn dużej fluktuacji kadr specjalistów, zwłaszcza w przedsiębiorstwach położonych z dala od większych ośrodków, gdzie jest sporo ludzi, którzy muszą pracować, traktując pracę jako źródło dochodu. To chyba nie przypadek, że w takich środowiskach trudniej przyjmują się ambitni specjaliści; zrażają ich przełożeni, a o-

parcia w biernej załodze nie uzyskują.

Nasuwa się pytanie, czy w takich przedsiębiorstwach ktośkolwiek podejmie zadania o charakterze wychowawczym. Owszem — szkolenie, odczyty lub okolicznościowe hasła. Ale jakże często to tylko celebrowanie, rytuał bez treści, a przynajmniej bez żywej treści, przemawiającej do wyobraźni i umysłów. Często zagadnienia pracy wychowawczej ujmują się instytucjonalnie, formalnie, wyznaczając zakres obowiązków poszczególnym komórkom zakładowym czy organizacjom społecznym.

W Hucie „Stalowa Wola” sporo spraw rozwiązuje się kompleksowo, przy czym nie każda inicjatywa, choć niewątpliwie wpływająca na morale załogi, nosi sztyl: „praca wychowawcza”. Np. z ustaleń psychologa i socjologa korzystali lekarze zakładowi, a ochrona zdrowia istotnie wpływa na poczucie bezpieczeństwa. Na temat roli czynnika ludzkiego w produkcji hutniczej mówił dyrektor zakładu na sympozjum socjologicznym. Zagadnienia te omawia się także z kierownikami niższego szczebla, przywiązując szczególną wagę do przygotowania mistrzów i brygadzystów, których uczy się kierować ludźmi. Przyswieca tym poczynaniom konkretny cel; zakład zwiększy zatrudnienie o 3 tys. pracowników, więc ich szuka, przysposabia, stwarza warunki, by w miarę szybko zaaklimatyzowali się w przedsiębiorstwie. Udany pomysł był np. zrealizowanie dokumentalnego filmu o Hucie, który nowicjuszowi daje jakie takie o niej wyobrażenie.

O Hucie napisano już wiele pochwalnych artykułów; również i ja popularyzowałem w prasie krajowej i na łamach jednej z gazet zagranicznych społeczne inicjatywy przedsiębiorstwa, zwłaszcza w zakresie szkolenia załogi i humanizacji pracy. Nie będę więc wracał do spraw, które już opisałem. Poświęcę jednak kilka słów spotkaniu z młodymi pracownikami, poświęconemu właśnie adaptacji. Spotkanie prowadził przewodniczący rady zakładowej, uczestniczył także wysokiego szczebla działacz związkowy, ale decydujący głos miał jeden z dyrektorów przedsiębiorstwa. Zbyt często jego głos brzmiał apodyktycznie, wielokrotnie padaly słowa: „nie”, „nie macie racji”, „nie wiecie o tym lub innym”. Wysokiego szczebla działacz związkowy utrafił chyba w dziesiątkę, mówiąc o dwóch punktach widzenia: dyrektora i pracownika. Notabene, do

(Ciąg dalszy na str. 6)



Fot. ZBIGNIEW RYBKA

**Krystyna Świerczewska**

## Gdzie diabeł

Dzieje krakowskiego ośrodka telewizyjnego obfitują w nader dramatyczne momenty. Kiedy uruchomiono stację nadajnikową na Chorągwie, kiedy po raz pierwszy miała ukazać się plansza z kaziemierzowskimi drzwiami w tle, kiedy cała Polska czekała na transmisję uroczystości — właśnie ten pierwszy program nie poszedł i rzecz nabrała posmaku skandalu. Nie budziło nigdy bowiem zrozumienia tłumaczenie, że polski prototyp nadajnika, nieumiejętne dostosowanie go do warunków eksploatacji może powodować trudności. W rzeczywistości więc program krakowski emitowały wtedy Katowice, zaś „Telewizja Kraków” od owej pory po dzień dzisiejszy walczy z trudnościami natury technicznej.

Jest jednak w tej walce coś z uporu diabelskiego, sporo diabelskich sztuk przyswieca jej ostatecznym efektem, a samo usytuowanie obiektu na tradycyjnie diabelsko-twardowskich Krzemionkach upoważnia do szafowania terminologią czartów. Sporo też programów przygotowują o diabelskie dreszcze, co by w końcu nie było źle, gdyby „diabelskie” zawsze znaczyło oryginalne, wszechmocne...

Niezwykłość losów Telecentrum na Krzemionkach doprasza się zapisu, bo to i historia dziesięciolećnych wysiłków społecznych je budowała i widać Twardowski Krzemionkom dalej patronuje z

sympatią, gdyż rodzą się trochę poza legalnością państwową, poza planami finansowymi; trochę z piasku obietnic, które idee Telecentrum zainicjowały — najwięcej z czarów pomysłowości i zapалу ludzkiego.

Równy dziesięć lat minął od ukonstytuowania Społecznego Komitetu Budowy Ośrodka Telewizyjnego, popularnego dziś „Kabotu”, z równie popularnym adiunktem Politechniki Krakowskiej dr Ryszardem Karwickim jako przewodniczącym. Ogrómej zaiste trzeba przemyślności, aby w ciągu 10 lat zgromadzić 80 mln złotych, przełamać opory budowania czegoś niezafiksowanego oficjalnym planem, wytrwać w poszukiwaniu rezerw finansowych, zrzeczności w zjednywaniu sojuszników.

Kiedy przed dwoma laty stały już fundamenty Telecentrum, kiedy miasto podarowało i uzbroiło najpiękniejszą bodaj w Europie okolicę, wybudowało drogę, pokonało zasadnicze trudności adaptacyjne krzemionkowskiej, litej skały na cele budowlane — dopiero wtedy premier Cyrankiewicz wmurowywał akt erekcyjny pod budowę Telecentrum i wmurowując, zastanawiał się, jak położyć ów kamień węgielny pod coś, co już stoi... Był jednak ów akt wmurowania akceptacją oficjalną budowy dzikiej, a zarazem przejawem uznania dla energii społecznej, dla



Z całego amatorskiego ruchu artystycznego najmniej satysfakcji i uroków popularności przypada na amatorów plastyków. Pracują oni w ciszy swych pokojów, zastępujących im pracownie, pozostawieni sami sobie w swych zmaganiach z opornym tworzywem, z wątpliwościami artystycznymi, dochodząc często z trudem do odkrycia dawno już odkrytych. Brak im wiedzy i rutyny zawodowców, znajomości technik malarskich, brak zwykle życzliwego i pomocnego słowa przestrogi lub zachęty ze strony krytyków i znawców. Amatorzy-muzycy, aktorzy czy tancerze często odbierają podziw widowni, burzę oklasków, kwiaty, nagrody i dyplomy — plastycy tak bardzo rzadko mogą zaprezentować swe prace publicznie. Wystawy dzieł amatorów odbywają się u nas od przypadku do przypadku. Nie weszły jeszcze — a szkoda — w tradycję, jak konkursy recytatorskie czy festiwale teatrów i kapel ludowych.

A przecież właśnie amatorzy plastycy spośród wszystkich amatorów dostarczają najtrwałszych, najbardziej niewątpliwych dzieł kulturze i sztuce narodowej. Któżby encyklopedia sztuki nie wymieni dziś nazwisk Nikifora, Teofila Ociepki, Leona Kudły, Jędrzeja Wowro czy Pawła Stolorza.

Toteż na szczególne uznanie zasługują, nieliczne zresztą w naszym województwie, placówki, od dawna usiłujące objąć opieką i mecenatem plastyków amatorów. Główną rolę odgrywa tu Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie, inicjator ciekawych form tej opieki. Od kilku lat istnieje tu Klub Plastyków Amatorów, zrzeszający twórców z całego województwa. WDK zapewnia im stałą pomoc etatowego instruktora, którym jest zawsze artysta plastyk zawodowy. Dla Klubu organizuje się co roku plenery w najbardziej malowniczych okolicach województwa. Później Dom Kultury urządza wystawę i prezentuje publiczności owoce pracy plenerowej. To daje znakomitą okazję do wymiany zdań i dyskusji między członkami Klubu a krytykami, plastykami zawodowymi i miłośnikami sztuki.

Właśnie otwarta w dniu 20.XI br. wystawa w WDK prac malarskich członków Klubu Plastyków Amatorów po tegorocznym plenerze, który odbył się w Jarosławiu i Przemyślu pod opieką Stanisława Kuci, stała się

Jan Grygiel

## O MECENAT DLA NIEDZIELNYCH TWÓRCÓW

podstawą do powyższych refleksji. Wystawa zgromadziła 73 prace, 22 twórców z całego województwa. Nie są to artyści ludowi w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż większość z nich pochodzi z miast i pracuje zawodowo jako pracownicy umysłowi. Są między innymi urzędnicy, nauczyciele, milicjanci, pracownicy kultury, prawnicy i rzemieślnicy.

Są to więc raczej twórcy „niedzielni”, malujący w chwilach wolnych od pracy zawodowej dla wewnętrznej potrzeby wyrażenia swych przeżyć. Stąd ich prace bliższe są niż twórczość ludowa, formom sztuki profesjonalnej.

Wystawa jest bardzo interesująca i świadczy dobrze o możliwościach, talencie i wrażliwości artystycznej rzeszowskich amatorów. Wszyscy są realistami i to prawie realistami dosłownymi, jak zwykle twórcy niedzielni, ale skala umiejętności, świadomości artystycznej i wiedzy o świecie jest u nich bardzo szeroka. Z niektórych obrazów wynika, iż twórca widzi, jak w wierszu Tuwima „wszystko oddzielnie”, „drzewo, budynek, most, zwierzę... Nie ma tu syntetycznego widzenia świata, jest jedynie zestaw pojedynczych elementów krajobrazu, ustawionych we wzajemnym sąsiedztwie. Tak jest np. w obrazach jedynej chłopki, wystawiającej tu swe prace, Zofii Partyki z Jeżowego — malarki w całym znaczeniu tego słowa naiwnej. Używa ona kolorów lokalnych, nie uznaje światłocienia, załamania barw i kompozycji przestrzennej. Zarysowuje ostro kontury przedmiotów, niezależnie od planów, na których one występują. Stąd każde okno, każdy detal architektoniczny jest na płótnie widoczny. Mimo to, a może właśnie dlatego, prace te urzekają swą naiwną szczerością i prostotą. Nie ma tu ani cienia jakiegokolwiek maniery, ani śladu kiczowatości i objawów złego smaku.

Zwracają również uwagę bezpośredniością i równocześnie indywidualnością ujęcia obrazy Jana Kazneckiego z Rzeszowa. To artysta już bardziej świadomy i dość szeroko znany. Wystawiał już swe prace w NRF,

i we Włoszech. Urzekają subtelne, szaro-fioletowe tonacje jego obrazów i płynność uproszczonego rysunku. Prace Kazneckiego są świadomie płaskie — przypominają fowizm (fowisci zresztą czerpalą inspirację z twórczości prymitywnej i naiwnej). I Kaznecki jest twórcą naiwnym, ale bardzo oryginalnym w swoistej, delikatnej deformacji rzeczywistości, wynikającej nie z założeń artystycznych, lecz z takiego właśnie widzenia świata.

Równie znany artysta Alfred Długosz z Gorlic, sędziwy prezes Klubu Plastyków Amatorów, wystawia cały szereg bardzo nastrojowych temper. Ekspresyjne, romantyczne prace, szczególnie sugestywnie otwierają uroki starej architektury, zaułków, bram i podcieni. Długosz nie jest artystą naiwnym, posługuje się bezbłędnie zasadami perspektywy i kompozycji obrazu, widzi świat po malarSKU, umiejętnie syntetyzuje krajobraz. Jego tempery świadczą o dużej wrażliwości i liryzmie twórcy. Malarka kwiatów, Antonina Jakubiczek z Łańcuta, nie pokazała tym razem zbyt wiele prac, ale i tym razem jej kwiaty przyciągają oko soczystością barw.

Nie ma możliwości pełnego omówienia wszystkich eksponowanych prac. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilku jeszcze wyróżniających się talentem i samowiedzą artystyczną malarzy. Na Leokadię Dybaś z Jasła, Teresę Krajewską z Rzeszowa i p. Barud z Krosna. Leokadia Dybaś, instruktorka PDK w zakresie plastyki, pokazała bardzo dojrzałe miniatury pastelowe o doskonałym rysunku, nastrojowe i ciepłe w kolorystyce. Teresa Krajewska eksponuje trzy małe oleje, utrzymane w tonach fioletów. Operuje bardzo umiejętnie impresyjną barwną plamą — wykorzystuje doświadczenia kolorystów. Zwracają także uwagę 2 znakomite obrazy pani Barud z Krosna znakomitą kompozycją, harmonijnością barw, wyczuwaniem przestrzeni i gruntowną znajomością perspektywy. Jej prace nie różnią się od dobrych obrazów plastyków zawodowych.

Oprócz tych omówionych, wszystkie wystawione obrazy,

szkice i rysunki charakteryzują się bezpośredniością, brakiem jakiegokolwiek maniery, a przede wszystkim żarliwością, pasją i wielkim zaangażowaniem wewnętrznym. Widać, że są to ludzie o wrażliwej i wystrzonej wyobraźni, nawet gdy owoce ich pracy nie są w pełni dojrzałe formalnie.

Sądzę, że te uwagi dostatecznie ukazują korzyści płynące ze zorganizowanego mecenatu nad plastykami amatorami — z urzędowania dla nich wyjazdów plenerowych i wystaw. Dobrze więc, że i w powiatach powstają takie kluby przy domach kultury. Np. w Gorlicach plastycy-amatorzy tworzą klub łącznie z fotografikami, istnieje koło pla-

styczne, organizujące wystawy w Lubaczowie, zaczyna się kształtować w Przemyślu itd. Ale nie wystarczy kółko plastyczne czy instruktor do spraw plastyki przy PDK, bo to nie jest żadna nowość — wszędzie można je spotkać. Warto naprawdę przyciągnąć tych ludzi do placówek k. o., poświęcać im nie mniej uwagi niż zespołom teatralnym czy muzycznym, zapewnić taką opiekę ze strony plastyków profesjonalnych, by nie zniszczyć ich indywidualności, nie zabić szczerości, nie narzucić maniery. Niech ci ludzie nie czują się osamotnieni i pokrzywdzeni — popularyzujemy ich, zapewnimy wspólne pracownie i zbiorowe wystawy nawet ogólnokrajowe, jeśli na to zasługują poziomem swej sztuki. Może trzeba urządzić dla nich więcej wystaw konkursowych z nagrodami, może pomagać im zakupami?... W każdym razie warto ten kierunek twórczości amatorskiej skierować na jeden z głównych torów.



Fot. M. KOPEC

## pakta zawierają

społecznej opinii i społecznego uporu.

I jeżeli nawet trzeba było jeszcze dwóch lat na włączenie budowy krakowskiego Telecentrum do planów państwowych, jeżeli zdarzały się tam momenty tak dramatyczne jak owo półrocze roku bieżącego, kiedy konto „Kabołu” nie posiadało nawet jednej społecznej złotówki, a budowy mimo to nie przzerwano (tyle że naczelny redaktor — Wiesław Molik — nie sypiał po nocach, a jeżeli sypiał, to śniły mu się najczarniejsze procesy arbitrażowe) — to efekt końcowy, czyli 9,5 mln złotych z budżetu państwowego w roku bieżącym, zaś ponad 22 mln w roku przyszłym są jeszcze jednym dowodem publicznego uznania działań społecznych Komitetu Budowy Telecentrum.

Telecentrum dziś stoi i za parę miesięcy przegarnie już ludzi krakowskiej telewizji pod swój dach; powoli zacznie otwierać swoje trzy studia, z których najmniejsze — spikerskie i tak będzie większe od dotychczasowego, jedyne zresztą, skąd idą wszystkie programy; największe zaś, liczące 600 m kwadr. będzie należało do najznakomitszych w Polsce.

Krótko da się opowiedzieć historię tego dziesięciolecia; równie krótko da się streścić w dwóch słowach dotychczasowy stan techniczny krakowskiego ośrodka jako zszczyt prymitywizmu. Brak zaplecza, stare kamery, sprzęt filmowy

amatorski, o którego jakości decyduje każda zmiana temperatury, brak fachowców z prawdziwego zdarzenia, brak doświadczenia w pracy dziennikarsko-telewizyjnej, słowem — zaczynanie od najtrudniejszych początków wcale jeszcze nie należy do historii. Wystarczy powiedzieć, że przeciętna wieku pracowników krakowskiej TV wynosi 28 lat, a przeciętna stażu pracy — 2 lata, by zrozumieć jak nikłe doświadczenie zawodowe owe dwie średnie mogą gwarantować.

A przecież Telewizja Kraków dysponuje w tym roku 60 godzinami programu lokalnego i 81 godzinami programu ogólnopolskiego, w roku przyszłym program lokalny zwiększy do 75 godzin, ogólnopolski zaś — do 130; zatem eksperymenty muszą iść kosztem widza.

I to jest ta pierwsza, bodaj zasadnicza strona zagadnienia; druga — patrywać można w dysproporcjach między jakością programów a prężnością ośrodka, dla którego je się przeznaczają. Trudności mają to do siebie, że nie rodzą przyjaćci ni przyjaznej atmosfery; przed niepełną rakiem bynajmniej nie należało do dobrego tonu być dziennikarzem telewizyjnym czy bodaj z telewizją współpracować. Próżnia, jaka wytworzyła się wtedy wokół krakowskiego ośrodka, choć dziś zlikwidowana niemal całkowicie, musiała spowodować naturalny brak tradycji krakowskiego dziennikarstwa telewizyjnego, brak jakiegokolwiek rutyny, która nie zaw-

szsze ubiera się przecie w posmak peyoratywny, a w wielu wypadkach jest koniecznością wszelkiej dyscypliny, oznaką wiedzy. Myślę, że właśnie jej brak spowodował podjęcie decyzji o podstawowym szkoleniu kadry dziennikarskiej na Studium Telewizyjnym, zorganizowanym centralnie w ośrodku katowickim, w którym bierze udział w tym roku począwszy od redaktora naczelnego niemal każdy dziennikarz krakowskiej TV.

Myślę, że jej brak jest przyczyną głębokich zastanowień kierownictwa nad zdecydowanym profilem krakowskiego ośrodka w najbliższej przyszłości. Jej brak rodzi obawy, że wyjście z kilku ciasnych klatek do pomieszczeń superkomfortowych, opuszczenie ciasnoty pomieszczeń studyjnych, znów chyba diabelskim sposobem zaadaptowanych do potrzeb programowych i diabelskim sposobem trzymających owe programy w jakich takich rygorach techniczno-artystycznych — ten przeskok w jakości bazy, z utęsknieniem wyczekiwany, może przynieść w konsekwencji pierwszy szok i kompletne zagubienie.

A profil artystyczno-programowy w miesiące 11 wyższych uczelni, 20 instytutów naukowych, 9 scen teatralnych, 120 literatów i 1500 plastyków jest koniecznością, jaką narzuca już dziś rzeczywistość. Bo rzeczywistość od tej strony widzi, a wcale nie przedstawia się rewelacyjnie. Nie ma co prawda już niechęci do telewizji, są programy oglądane z dużą przyjemnością, świadczące o dużej kulturze realizatorów; są jednak całe obszary tematyczne nietknięte, jest nieporadność warsztatu, w którym zdecydowanie walczyć wypada z nawykami dziennikarstwa prasowo-radioowego, koniecznego jako baza, lecz niewystarczającego jako cel, jest wreszcie przypadkowość, zabójcza

dla każdego profilu działalności propagandowej.

W dotychczasowym profilu telewizji ogólnopolskiej rysują się już dość wyraźne specjalizacje przed ośrodkami terenowymi: poznański słynie z programów muzycznych, gdański — z tematyki morskiej, wrocławski z dokumentu politycznego, katowicki z rozrywki (nader często, niestety, bardzo niewybrednej). Przed krakowskim rysuje się wyraźnie program maksimum — a więc droga wysokiej jakości artystycznej, profil, najogólniej mówiąc czysto kulturalnej polityki, gwarantującej poziom, doskonałość, mądrą publicystykę. Znacząc nieprzebrane zasoby ludzkiego materiału — rzecz wydaje mi się osiągalna od tej strony; rozumiejąc jednak po trosze i wymogi speyfikacji małego ekranu, obawiam się mickiewiczowskich „sił na zamiaty”. Zresztą nie ja jedna.

W nowym Telecentrum ośrodek krakowskiej TV będzie miał podwójnie trudne zadanie. Nie usprawiliwi go już niedołączona technika, zużyty sprzęt — a więc ta cała sfera którą humaniści zaliczają do kręgu magicznych działań krasnoludków, ale która dotychczas na pewno była, wierzę w to mocno, przyczyną wielu spartaczonych programów. W dodatku przyjdzie mu się rozliczać z komfortu, ufundowanego wszak społecznym groszem. Dał Boże, aby patron sztuk magicznych, szalejący w legendzie po Krzemionkach dodał trochę diabelskich czarów, bo nie zaszkodzą.

I wreszcie na zakończenie zobaczmyż i siebie — to znaczy problematykę województwa rzeszowskiego. Jesteśmy skazani na Kraków: sąsiedztwo i wspólnota byłyby nam na pewno mile, gdyby zainteresowanie było proporcjonalne do sym-

patii Dziś odbierzemy krakowską TV sympatią na wyrost. Naturalnie, że mieliśmy nasze małe satysfakcje z paru sensownych resowianów; lecz znikomości ilościowej nie sposób wynagrodzić jakością.

Plany dla Rzeszowszczyzny wcale nie rysują się imponująco: miesięcznie znaczący się nam jeden kwadrans publicystyki, a w kronikach parę informacji, pozbawionych raczej podbudowy filmowej, bo za kosztowna i wymagająca pracy stalego przedstawiciela.

W rozmowie z sekretarzem KW — Stanisławem Ryba, usłyszałam dwie cenne, najnowsze wiadomości, które niniejszym przekazuję: Komitet do spraw Radia i Telewizji przeznaczył na programy poświęcone Rzeszowszczyźnie do końca bieżącego roku kwotę 50 tys. złotych; w roku przyszłym zaś znajdzie się etat dla stalego przedstawiciela naszego województwa, który zaopatrzonego w sprzęt filmowy, ma szansę ożywić słowo suchej, rzeczowej informacji materiałem filmowym.

A tematy ciekawe: czeka rzeszowska wieś i jej problematyka w świetle uchwał IX Plenum, stajemy w przededniu dyskusji nad planem państwowym na rok 1968, istnieje cała sfera złożonej problematyki ekonomicznej, podlegająca przeciwie specyfice regionalnej, czekają na prezentację kulturalia Rzeszowszczyzny — fragmentaryczne bodaj ukazanie jej środowisk twórczych.

W przekonaniu, że nie zda się na nic Rzeszowszczyźnie zaprzęgnię Twardowskiego w patronaty, zostaje nam jedynie rozliczać skrupulatnie bogatszego sąsiada z zobowiązań. Będą te zobowiązania dodatkami, który powinien wziąć serio pod rozważ i traktować je jako pakta międzywojewódzkie, realne.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA



## GERARD GÖRNICKI



Przed zgłiszczami stała topola umarła, szerniałym pniem stercząca ku niebu, spalona. W środku dużego kręgu gołej ziemi, pozbawionej śniegu, leżała sterta zwęglonych belek, omaszanych zlodowaciałym popiołem i błotem, które nie zdążyło spłonąć. Naprzeciwko zgłiszcz, na skraju półkolistej, stromej polany leżał rozrzucony kopczyk kamieni z żelaznym krzyżem, wysokim i szerokim. Woźnica chlasnął lejcamy konia po brzuchu. Sanie skrzypnęły. Między zgłiszczami a krzyżem stanęły.

— Widzicie, jak to wygląda? — spytał cicho chłop i zeskoczył z sań na ziemię.

— Pan coś mówił? — Marta siedziała bez ruchu.

— Czasem gadam ze sobą. Zaczęłam coś opowiadać, coś z dzieciństwa swojego syna, co mnie nic nie obchodziło. Przeskoczyłam rów i stanęłam przed krzyżem. Na owalnej, żelaznej tabliczce biały napis: „Tu zginęli z rąk polskich bandytów, za ojczyznę i fuhrera; leutnant Hans Kuppe und Herman Guenter. Cześć ich pamięci!”

— Już się pan naparzył? To zjedź pan stamtąd i zostaw pan ten krzyż w spokoju.

Między kamieniami odkryłem puste łuski i rozpruta minę.

— Stało się wszystko, co się miało stać. Zostaw pan ten krzyż.

Rozejrzałem się dokoła. Nie opadał w niskiej kosodrzewinie, w zieleni, z krzyżem brzozywym, bez napisu — leżał dobrze utrzymany grób małych rozmiarów, podobny świętemu kretońskiemu. Zmartwiałem, jak porażony nieoczekiwanym nieszczęściem. Podniosłem wolno oczy na chłopca, który uśmiechał się do mnie.

— Znalazł pan coś jeszcze.

Chwilę walczyłem z ogromnym lękiem, bałem się zadać mu jakiegokolwiek pytanie. Po między gałęziami zobaczyłem ulamek niebieskiego nieba, pełny światła, podjudający, jak żarzący śmiech do radoznego krzyku. Na ziemi leżały ślady startego życia. Poczułem się zagrożony, czekałem na atak ze strony chłopca, bo kiedy wsiadaliśmy w Melsztynie w jego sianie, powiedział mi, że wyglądam na uczonego, albo na poe. Bzdura. Teraz patrzył na mnie bez zyczliwości, ja też patrzyłem na jego twarz, niezbyt ładną, kościstą, z krwistymi plamami na policzkach, złożoną jakby z dwóch nastrojów, uśmiechających się oczu i zaciśniętych warg, bliską mi nagle, roznieglizowaną z dotychczasowej obojętności i wyniosłości, ale zapragnąłem w następnej sekundzie, żeby już przestał patrzeć na mnie. Przeraził się sam tego obnażenia przed nami. Siedział wolno do sań, stanął w niedokończonym kroku i powiedział, nie patrząc na mnie:

— Niech pan zmówi zdrowaśkę za mojego Antka. Miał czternaście lat... Czego się pani boi? — zapytał Martę, siedzącą wciąż na saniach.

— Ja? Nie! Nie! — krzyknęła z raptownym lękiem, jak gdyby ktoś pociągnął ją za rękę.

— Proszę zejść z sań. Marta spojrzała na niego uważnie, wstała i zeskoczyła na ziemię.

— Nigdy tu nie byłam. — Zostanie panienka tutaj na noc. W tych zgłiszczach jest piwnica. Zaniesiemy tam radiostację. Taki był rozkaz.

Marta czekała z odpowiedzią kilkanaście długich sekund. Więc on zbliżył się do niej i stanął przed nią. Marta wzięła głowę i zaczęła palcami szukać zegarka na przegubie ręki. Słuchaliśmy przyciszonych jego objaśnień.

— Wracał ze szkoły razem z innymi chłopcami. Ktoś im powiedział o tym krzyżu. Przylecieli tu przez górę i las. Popatrzcie jakie śniegi, jaka ślizgawka. O wypadku niestety. Antek pierwszy rzucił się na ten krzyż. Gadanie. Przecież

katolik. Mówili mi, że pierwszy. I tak musiało być, bo mina niemiecka rozerwała tylko jego, dwóch innych okropnie pokaleczyło, ale żyją. Reszta zwiła. Jak wypadek taki, to zawsze potem mówią, po co lazi? Młody i głupi jeszcze. Patrz pan, jakie to życie. Antek wyszedł rano z domu i nawet nie pomyślał, że już nigdy nie wróci, żeby tak od razu człowieka rozerwało na kawałki, to trudno pojąć. I mnie się widzi, że on sam z własnej woli ten krzyż chciał obalić, ale nie chciał pozbyć się życia. Różnie się ludziom układa. Tym Niemcom też się inaczej ułożyło. Po prostu strach wychodził z chałupy na ten świat. Paskudna pora. Nie widać końca wojny... A on szedł ze szkoły do domu... Ale już mówiłem o tym... Jak to było naprawdę, trudno powiedzieć. Ludzie plotą różnie, jak zawsze, gdy ktoś umiera, albo zostaje zamordowany, albo popełnia samobójstwo. Zawsze to sensacja. Mówią niektórzy, że Antek to bohater i po wojnie będzie miał ten żelazny krzyż na swoim grobie, na cmentarzu, gdzie go pochowam obok... To już jesteśmy na miejscu...

Jego opowiadanie trwało szalenie krótko, pomieszczył w swoich słowach gniew i patos, spokój i gorycz, ból i nadzieję, uśmiech i łzę. Jak zwykle w takim nieszczęściu.

— A wy się nie boicie? Różnie o was ludzie gadają.

— Nie wiem, panie. Sam nie wiem.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale widocznie zrezygnował, gdyż odwrócił się, wygrzebał spod słomy radiostację polową i poszedł z nią kołowym krokiem w stronę zgłiszcz.

W piwnicy, obszernej, o półkolistym sklepieniu, zastaliśmy ład i porządek, kompletne umeblowanie i żelazny piecyk. Chleb, słonina i kiełbasa w skrzyni pod ścianą, wytapetowaną wyciętymi z kolorowych gazet zdjęciami aktorów i aktorek, w smokach, w sukniach i półnagich. Twarze sportowców; Kusociński, Marusz, Czech, bokserzy i piłkarze, niemal cała kadra narodowa polska.

Ojciec bohatera-Antka czuł się jak u siebie w domu. Zaczął rozpałać ogień w żelaznym piecyku, którego komin przebiegał się między cegłami na zewnątrz. Marta, otulona w baranie, siedziała na ławie i czekała na ocieplenie. Woda w wiadrze była zamrznięta na lód. W uchylonych drzwiach ukazał się bury łeb. Kot zamiałczał przeraźliwie. Przeszedł przez próg bez prośbienia, był chudy jak szczapa. Wyszedłem, aby z pogorzeliśką przynieść drzewa. Słońce już zachodziło. Wielkie stado wron żeglowało pod niebem w stronę lasu, gdzieś wśród koron drzew zapotały ich skrzydła. Między rupieciami pod rozwalonym piecem zobaczyłem w całkiem dobrym stanie fajkę. Wydzielała z siebie wspaniałe zapachy tureckiego tytoniu. Rozejrzałem się ukradkiem dokoła, nic więcej godnego uwagi nie znalazłem. Powlokłem się do piwnicy, chwilami zdawało mi się, że ten dzień był snem, snem z dawnych lat, którego nie zapomnę nigdy. Przecież stary dom, pokryty papą i gontami, w którym się urodziłem, spalił się do reszty, na moich oczach dwunastoletniego chłopca. Nozdrza miałem pełne swądu i zastygłego czadu. Dłonie czarne od zwęglonego drzewa.

Skrzypnęły drzwi. Spiesznym krokiem wyszedł z piwnicy ojciec Antka. Minął mnie ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

— Do widzenia — powiedziałem nagle i sam przeraziłem się swego głosu.

Zatrzymał się. Widziałem jego twarz, tę samą, najprawdziwszą; oschłą, wyniosłą.

— Dobranoc — odparł.

Uczulem wielką przykrość, on widocznie to spostrzegł, gdyż rzekł, zachylając się wymuszonym uśmiechem:

— Ach, nie warto tu siedzieć, lepiej w domu było zostać, coś innego zrobić, uczyć się, poczytać książki, posłuchać muzyki, zabawić się, wszak jesteście młodzi. Ach, głupi ja jestem, głupi, że was przywiózł na to odludzie. Nie bierzcie mi tego za złe.

— Taki był rozkaz panie... — Jędrzej mi na imię.

— ... panie Jędrzeju. Dziękujemy. Niech pan zagładnie do nas jutro. Dobranoc.

Postać chwilę i nagle szybkim krokiem poszedł do swoich sań, zakręcił w miejscu i odjechał. Tylko wierchołki drzew tkwiły w smudze czerwieni, nad ziemią było już szaro i coraz mroźniej.

W progę ustąpiłem gwałtowne, rozpaczliwe szlochanie Marty. Zamierem w bezruchu, osaczony tym nieukrywającym, przejmującym płaczem.

— Cicho. Kot nam ucieknie ze strachu. Czego się boisz?

Położyłem rękę na jej szyi, zacząłem ją gładzić. Odwróciłem jej twarz ku sobie. Nie chciała tego. Podeszedłem do pieca. Wtedy przypomniałem sobie fajkę.

— Marta, popatrz, jaka piękna fajka. Zapomniałem ją dać Jędrzejowi.

Zdjąłem kurtkę, położyłem ją na ławie.

— Siadaj. Usiedliśmy blisko siebie. Patrzyliśmy w płomień. Przelknąłem ślinę. Wyjąłem z kieszeni papierosa, paznokciem rozprułem bibułkę. Napelniłem tytoniem fajkę. Popatrzyłem na zegarek.

— Zrób kolację. Za godzinę zaczniemy ciężko pracować. Może odzyskamy Wacka. Może



„Faust” albo „Mariano” wiedzą coś o nim. Musimy zapytać ich, jak to było naprawdę z Markiem. Dzisiejszej nocy szykuje się jakaś wielka akcja. Nic nie wiemy, dlatego nam na razie smutno.

— A wiesz, kto mieszkał w tym domu?

— Kto?

— Odechce ci się tej fajki.

— Powiedz.

— ... bardzo starzy oboje, ona kaszła i staba, on zgarbiony we dwoje... Niemcy pacyfikowali okolice. Oboje zostali spaleni w tym domu. Jędrzej mówił przed chwilą o nich. Ponieśli śmierć razem, byli niemal spleceni ze sobą. Wyglądało na to, że ona chciała uciekać z domu, on musiał ją chwycić za rękę i zatrzymać, bo jakoś tak

dziwnie leżały ich zwęglone ciała na podłodze, rozstrzelane przed progiem izby. O świcie, mówił Jędrzej...

Tak zakończył się ten nasz dzień.

Jeszcze wyszedłem z piwnicy. Pusto. Nikogo nie było na drodze. Na piecyku gotowała się wprawdzie kiełbasa, jej zapach zmieszał się z stęchłąną. Kociła naftowa lampa.

— Piękna fajka i będzie piękną pamiątką z wojny. Słyszysz, Marta?

— Słyszę. Wolisz to, niż kulę wyjętą z nogi. Podobno żołnierze frontowi robią takie kolekcje. Przed wojną ludzie zbierali kamienie nerkowe, stare zęby, głupie to, ale widocznie do czegoś człowiekowi potrzebne. Mój wuj, Zbyszko, zbierał stare pieniądze, bo nowe zawsze przepijał. U nas w domu na strychu są jakieś fajki w kufrze, po dziadku Mikołaju.

— I zabierzemy ze sobą do Łusławice tego kota.

Kot siedział na kolanach Marty i mruczał. Był najedzony do syta, pożarł co najmniej funt kiełbasy.

— Oczywiście. Pochwalimy się mamie naszymi zdobyciami wojennymi. Fajka i kot z pola chwały.

— Czy będę mógł powiedzieć, że zdobyłem ciebie? Historyczną Martę.

— Zobaczymy. Na razie gratuluję dotychczasowych sukcesów. Raz mnie upiłeś i sto razy pocałowałeś. Na tym koniec. Kolacja gotowa. Poszukaj noże i widelce, muszą gdzieś tu być.

— Już rozkazujesz. Kto tu właściwie jest dowódcą?

— Kto? To jasne. Radiostacja jest moja. Ty pełnisz służbę pomocniczą.

— To hańba.

— Nie myśl o tym. Nie je-

— Nie chcę.

— Patrz jej w oczy ironicznie.

— Co to za grymasy? Pij.

— Nie, nie chcę.

— Uśmiecham się samymi ustami.

— Ledwie jesteś ze mną godzinę sam na sam, już mi rozkazujesz.

— Proszę.

— Nie. Jestem żołnierzem na posterunku. Zaraz zawołają „Sebastiana”. Dzisiaj nie jestem kobietą. Zapomnij o tym. Jest wojna.

— A jak to będzie po wojnie? Nie wyobrażam sobie tego. Myślę, że przyjaźń, narodzona w takich czasach, przetrwa najwierniejsza i będzie najmocniejsza. Mam już kogoś. Erazm, Wacek, Dąb, Krystyna i Marta. A miłość? Nie znamy przyszłości, może być trudniejsza, nie wiemy, w jakie życie trafimy. Ja już wiem, że przyjaźń smakuje jak miód i jak miód wzmacnia serce. Jesteśmy bardzo młodzi. Życia przed nami nie znamy, zaskoczy nas ono jak ptak, który zerwał się w lesie z ziemi i bijąc skrzydłami o gałęzie, odleciał panicznie szybko pomiędzy drzewa.

— Już sobie obmyśliłeś.

— Nie. Lubię być przewidującym.

— Bajki.

Siedzieliśmy na ławie przy sobie. Bez ruchu.

— Już dwudziesta.

Fioletowe powietrze przysłoniło nam oczy. Wszystko nagle wydawało się martwe, z wyjątkiem skroni. Pulsowały. Czekaliśmy. Wlokło się to. Nikt do nas nie mówił. Cisza. Łagodna, krystaliczna dźwięki radiostacji przeszły w czyste nuty nokturnów Chopina. Czekaliśmy.

(Dokończenie ze str. 4)

kontrowersji dochodziło głównie z inżynierami, z którymi dyrektor nie zgadzał się, gdy podnosili kwestię uposażeń, stażu wstępnego czy przyczyn fluktuacji.

To dobrze, że dyrektor ma czas i ochotę na rozmowę z pracownikami, ale źle, że ci pracownicy dopiero wówczas usłyszeli o wielu ważnych zagadnieniach. Widocznie w Hucie szwankuje informacja rozumiana jako przekazywanie wiadomości z góry w dół i odwrotnie. Jeśli dyrektor miał rację, to sporo dyskusyj nie znało sytuacji w przedsiębiorstwie, a brak takiego rozeznania prowadzi do różnorodnych nieporozumień. Nie będą się wypowiadał co do tonu, jakim przemawiał dyrektor; tego rodzaju spotkania powinny mieć charakter bardziej kameralny, ale słyszałem coś niecoś o słownictwie dyrektorów innych przedsiębiorstw...

Skoro się już rozpisaliśmy o Hucie, to przypomnę, że ostatnio gościła ona na łamach prawie

## Gdy młodzi...

każdej gazety, które podały za Polską Agencją Prasową wiadomość o odbyciu w Stalowej Woli inauguracyjnym posiedzeniu Komisji CRZZ d/s działalności wychowawczej w zakładach pracy. O inicjatywach CRZZ pisałem przed paru tygodniami w artykule „Nowe spojrzenie”. Inicjatywy te przybierają już kształt programu; komisja przewiduje m. in. opracowanie zasad szkolenia aktyw i kadry kierowniczej w zakresie wiedzy o człowieku. Zamierza także organizować stałą wymianę doświadczeń psychologów i socjologów zakładowych; sądzę, że tym sposobem upowszechni się wiele ciekawych inicjatyw, podejmowanych chociażby wów-

czas, gdy tyle się mówiło o humanizacji pracy.

Przewodniczącym Komisji został jeden z sekretarzy CRZZ, a zastępcami: przewodniczący ZG Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz przewodniczący ZG Zw. Zaw. Hutników, a więc Związku, który w interesującej nas dziedzinie ma już spory dorobek. Komisja jest, że tak się wyrażę, kompetentna i reprezentatywna, a brak egzekutywy równuje autorytet jej członków, ale zasadnicze problemy będą przecież rozstrzygane i wcielane w życie w przedsiębiorstwach, przez ludzi nimi kierujących administracyjnie i politycznie.

— Najpierw wykopali z grobów dwóch swoich żołnierzy, zabitych we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Potem ten jeden oglądał grobowce Tarłów w kościele klasztornym. Zagadałem go, był nauczycielem historii w Dreźnie. Poszło mi lekko. Wiesz, co to znaczyło dla mnie? Przecież blisko dwa lata żyłem poza namiąską. Po ucieczce z obozu unikali mnie tu wszyscy jak zapowietrzonego. Dopiero Wacek wziął mnie w swoje ręce. Dał mi pseudonim, to on wymyślił, zapamiętał ze szkoły nazwisko Galla Anonima. Gdzie on teraz jest?

— Kto?

— Wacek.

— Ty się o niego nie gryź. Marta pogladziła mnie gorącą dłonią po czole. Przypadłem do niej całym ciałem, przytuliłem twarz do jej piersi, opiętych wełnianą, niebieską sukienką. Marta zaplotła dłoń na mojej szyi. Zastygliśmy bez ruchu.

Z czarnego, ebonitowego pudła polowej radiostacji wydobywają się żywe pogwarki sygnałów alfabetu Morsego, przechodzą w jarmarczny klótnię. Na razie nikt nas nie woła. Wyciągam z piecyka rozpalony węgielek, palę papierosa. Podaje Marcie musztardówkę z bimbrem.

— Nie chcę.

— Patrz jej w oczy ironicznie.

— Co to za grymasy? Pij.

— Nie, nie chcę.

— Uśmiecham się samymi usta-

mi.

— Ledwie jesteś ze mną godzinę sam na sam, już mi rozkazujesz.

— Proszę.

— Nie. Jestem żołnierzem na posterunku. Zaraz zawołają „Sebastiana”. Dzisiaj nie jestem kobietą. Zapomnij o tym. Jest wojna.

— A jak to będzie po wojnie?

Nie wyobrażam sobie tego. Myślę, że przyjaźń, narodzona w takich czasach, przetrwa najwierniejsza i będzie najmocniejsza. Mam już kogoś. Erazm, Wacek, Dąb, Krystyna i Marta. A miłość? Nie znamy przyszłości, może być trudniejsza, nie wiemy, w jakie życie trafimy. Ja już wiem, że przyjaźń smakuje jak miód i jak miód wzmacnia serce. Jesteśmy bardzo młodzi. Życia przed nami nie znamy, zaskoczy nas ono jak ptak, który zerwał się w lesie z ziemi i bijąc skrzydłami o gałęzie, odleciał panicznie szybko pomiędzy drzewa.

— Już sobie obmyśliłeś.

— Nie. Lubię być przewidującym.

— Bajki.

Siedzieliśmy na ławie przy sobie. Bez ruchu.

— Już dwudziesta.

Fioletowe powietrze przysłoniło nam oczy. Wszystko nagle wydawało się martwe, z wyjątkiem skroni. Pulsowały. Czekaliśmy. Wlokło się to. Nikt do nas nie mówił. Cisza. Łagodna, krystaliczna dźwięki radiostacji przeszły w czyste nuty nokturnów Chopina. Czekaliśmy.

ZDZISŁAW KOZIOŁ



# ROMANS Z TEATREM

Przed tygodniem odwiedził Rzeszów Aleksy Arbużow — autor obecnie granej w rzeszowskim teatrze „Irkuckiej historii”. Obejrzał spektakl, spotkał się z publicznością — i powstał z tego odautorski komentarz do „Irkuckiej”. Okruczy co mniej znane z relacji dramaturga o jego pracy, fragmenty spostrzeżeń — zanotowałam.

Szaleją zima i wojna. W wygłodzonym Leningradzie, przeżywającym blokadę generała Judenicza, wybucha gwałtowny, bezprzykładny entuzjazm dla teatru: wystawia on schillerowskich „Zbójców”, a publiczność po skończonym spektaklu nie chce opuścić widowni, domaga się dalszego ciągu sztuki, przekreśla niejako wojnę, zime, głód, którymi rozporządza rzeczywistość: ucieka w świat sztuki. Wśród tej niecodziennej publiczności znajduje się 13-letni chłopiec, jeden z wielomilionowej rzeszy „bezpri-zornych”, dziecko — wóbecz-ga, które w ten sposób zawiera pierwszą znajomość z teatrem. Magia sceny działa nań poprzez wiatujących widzów i wtedy bezdomny 13-latek odkrywa, że istnieje siła potężniejsza od wszelkich blokad i kataklizmów, że warto się takiej sile podporządkować, co więcej — warto ją ewokować w przyszłości.

Od owego wieczoru mija 46 lat romansu Aleksiego Arbużowa z teatrem: zdążył być w tych latach aktorem i autorem 12 sztuk. Spośród nich jedna — „Irkucka historia” doczekała się paru-dziesięciu inscenizacji w teatrach całego świata, m. in. w Rzeszowie. Jest to dwudziesta pierwsza premiera, którą ogląda autor, tropiący w ten sposób siebie samego, jakby chciał sprawdzić poprzez rozliczne konfrontacje wartość własnej sztuki.

Gdy oglądał w Londynie swoją „Godzinę dwunastą” urzekła go aktorka. Nazywała się Judith Duth. Uważa ją po dzień dzisiejszy za najlepszą aktorkę współczesną. Kiedy zaczął pisać „Marata”, właśnie dla niej stworzył główną postać kobiecą. Zagrała ją. Krytyka angielska stwierdziła, że były to szczyty jej możliwości ak-

torskich. Gdy oglądał rolę Holoubka w Teatrze Narodowym, przyszło oczarowanie Holoubkiem. Kiedy teraz właśnie kończy nową sztukę „Szczęśliwe dni człowieka nieszczęśliwego”, mówi, że wykonawcą głównej roli wyobraża sobie tylko tego naj-ulubieńszego, największego ze współczesnych aktorów świata; że po raz pierwszy się zdarzyło, iż wzorem był mu aktor nie radziecki, ale też taki aktor, dla którego warto było specjalnie sztukę napisać.

„Wydaje mi się, że to bardzo ważne, kiedy istnieje wzajemne porozumienie pomiędzy aktorem, a dramaturgiem; gdy aktor w pewien sposób oddziaływa na twórczość dramatyczną, a dramaturg jest w aktora zakochany. Z takiej miłości, jak w małżeństwie, rodzą się dzieci. A jeżeli jeszcze takie małżeństwa mają charakter międzynarodowy — powstają zjawiska szczególnie cenne” — dodaje.

W leningradzkim teatrze, gdy przyszło to oczarowanie „Zbójcami”, nosił później wachlarz za Czerkasowem i Mrowińskim. Statystował, ukończył Instytut Teatralny, był aktorem, prowadził własne studio teatralne, pisał, podróżował. W jednej z takich podróży, do Irkucka, usłyszał historię Wali i Siergieja. Pierwotwór Wali miał co prawda 40 lat — ale fakty, zdarzenia były identyczne jak w sztuce. I co ciekawe — pojechał do Irkucka służbowo zobaczyć cud techniki — koparkę krocącą; zobaczył w gruncie rzeczy ludzi. Opowiadali irkucki epizod robotnicy z budowy; tak powstał najważniejszy dla Arbużowa element sztuki — Chór, nadający jej wymiar epickiej opowieści.

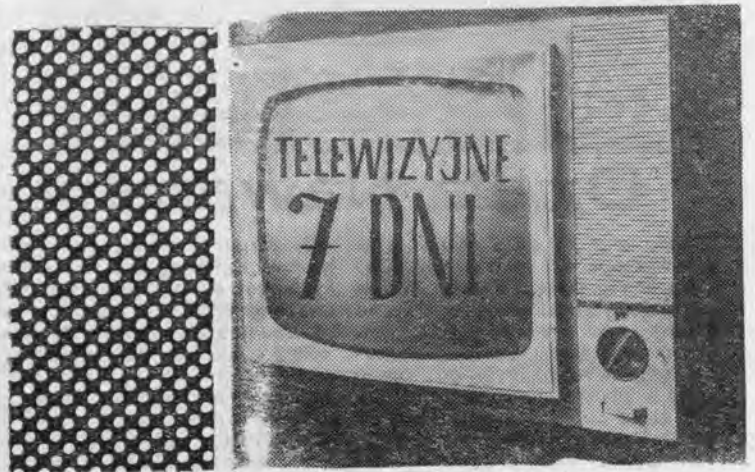
Widział 21 inscenizacji: m. in. w Rumunii, Francji, Czechosłowacji i nawet w Japonii. Piękne były te z Teatru Wachtangowa i Teatru Majakowskiego; zauważyła go wszakże jedna jedyna, niepowtarzalna, idealna, w której zobaczył nie to co napisał, lecz to co stworzył reżyser. „Zdarzenie nad brzegiem rzeki” — bo taki tytuł nosiła inscenizacja bratystawego Narodnego Divadła po raz pierwszy zaproponowała Chór niewydobryni-ny, ale tworzący całość z zespołem wykonawców. Chórem więc było 50 osób, gra-

jących w spektaklu. Opowieść o Wali opowiadało więc 49 robotników z budowy — świadków zdarzenia, które zalażywało się w świadomości różnych ludzi, tworzyło mit sprawy, budowało najczystszy teatr epicki. Przychodził codziennie niemal na bratystawskie spektakle. A kiedy Narodne Divadlo jeździło z występami po Kraju Rad — towarzyszył teatrowi od miasta do miasta, nie mogąc się rozstać z pięknym spektaklem.

Polski teatr jest wspaniały i Arbużow zna go wspaniale. Jeden z najwspanialszych na świecie — dodaje i zaraz się zastrzega, że to bynajmniej nie pochlebstwo, lecz wyraz szacunku. Wspaniałe nazwiska reżyserów, mądrzy, subtelni aktorzy i przede wszystkim ośniewająca scenografia, która daje reżyserom uzasadnienie inscenizacji, swoistą ekspozycję spektakli. Z polskim teatrem nie można się rozstać; prowokuje powroty, daje radość, tworzy zapładnia dramaturga.

Rzeszowska „Irkucka historia”? „Żywie wdzięczność dla aktorów; starali się zrozumieć myśl przewodnią”. Interesujący Wiktor z wyrazistym głosem i piękną sceną tańca; Siergiej bez cienia fałszu aktorskiego, który sprawia wrażenie, jakby na scenę przyszedł z życia, a przy tym jest tak bardzo rosyjski; interesujące warunki sceniczne Wali, która przy wyczerpanej pracy może zostać bardzo ciekawą aktorką. I epizody wreszcie: Zinka, Majka — a więc aktorstwo w rolach drugoplanowych. Ponadto jednak brak Chóru — w jego miejsce Narrator — autor chyba; a więc brak elementu najważniejszego — inspirującego całą opowieść, tłumaczącego ją artystycznie, elementu poetyckiego i epickiego zarazem.

Rzeszowskie wrażenia? Arbużow mówi krótko: czuję się tu jak w domu. Arbużow jest w Polsce po raz trzeci, więc coś w tym dziwnego? K. S.



To już cztery lata minęły od wypadków w Dallas i nie tylko Zygmunt Broniarek — świadek śmierci Kennedy'ego nie mógł wtedy w tę śmierć uwierzyć, ale i my wszyscy, znajdujący się ty-sięce mil od Teksasu. W czwartą rocznicę tej śmierci, dokładnie w jej wigilię, telewizja polska nadała amerykański film dokumentalny Marka Lane'a i Emilia de Antonio, zatytułowany „Pośpieszny osąd” i poprzedzony krótkim a mocnym komentarzem Broniarka. Nieczęsto mamy możliwość oglądać takie dokumenty i dobrze się stało, że z powodu protestów na raport komisji Warrena właśnie ów „Pośpieszny osąd” wybrano do prezentacji polskim widzom. Film był kręcony przed dwoma laty i właściwie jako dokument będzie miał kiedyś wartość unikalną; wszak wielu z tych, którzy demaskują mit o Dallas nie chodzi już dziś między żywymi.

Mark Lane miał być adwokatem Oswalda; miał być, gdyby Oswald żył i gdyby takiego prawa zagwarantowanego konstytucją uprzednio mu nie odebrano. W tym układzie faktów Mark Lane pozostał adwokatem prawdy, tropiącym rozliczne wątpliwości z pasją prywatnego detektywa i uporem niemal prokuratora. W filmie nie ma żadnych efektów, aktorami są świadkowie zdarzenia, odpowiadający na pytania Lane'a; film jest jednym z najbardziej pasjonujących filmów świata właśnie przez czystość dokumentalną i prostotę.

W korowodzie świadków niepotrzebnych komisji Warrena, świadków niewygodnych, jest coś z atmosfery kronik chicagowskich z lat trzydziestych, w których bohater z zasadzie był nieobecny, w których mała garstka uczciwych ludzi przeciwstawiała się z uporem światu gangsterów i rzezimieszków. Mark Lane ze swoim materiałem dowodowym niewiele nowego dziś mówi; znamy te fakty z rozlicznych publikacji i komentarzy; Mark Lane poprzez autentyczny wizualny przekazuje

jednak atmosferę, nieosiągalną słowem pisarskim.

I jeszcze raz osacza nas klimat amerykańskiej demokracji, gdzie życie ludzkie kruche, nietrwałe, z umiejętnością godną bandy Al Capone'a można likwidować serią samobójstw, nieuleczalnych chorób, gdzie interes jest wyznacznikiem sprawiedliwości, gdzie strach zaciera kontury prawdy, stwarza złudzenie podwójnej rzeczywistości.

Film Marka Lane'a, był aktem odwagi tak ze strony twórcy, jak i części jego świadków. W odwadze tej, której najwyższą ceną znowu było życie ludzkie, jest jednak optymizm. Wart był przeto ten dokument naszej zdwojonej uwagi.

Inne widowisko polityczne, równie warte odnotowania to — „Urząd” Brezy, w reżyserii Słotwińskiego. Nie było w nim, a contrario, cienia optymistycznych nastrojów; było w zamian wiele z klimatu „Procesu” Kafki, monstrualna niemożność, osaczenie dogmatem paragrafu kościelnego, pustka moralna tego dogmatu. To bardzo dojrzałe, pasjonujące i zarazem po trosze znowu dokumentalne przedstawienie powieści Brezy nabrało wymiaru publicystycznej rozprawy o państwie kościelnym, było swoistą transpozycją głośnego tytułu „Przy drzwiach zamkniętych”. I jeżeli do tej pory dość często wraca natrętnie zastanawianie się nad rolą teatru telewizyjnego, który często rodzi biernego konsumenta przez swoją li tylko poprawność rzemiosła — eksperyment pt. „Urząd”, nic z tej poprawności nie mając, zachowując przy tym indywidualny styl, nosił wszelkie znamiona teatru prowokującego przemyśleń. Zaś Edmund Fetting w roli adwokata własnego ojca był tak doskonały, że Mrożewski czy Krasnowiecki — nazwiska wszak znakomite, muszą usunąć się na plan dalszy.

Zostało mi jeszcze parę programów, wartych omówienia dlatego po prostu, że były za-łożone nijakie, albo wręcz złe. Katowice jak zwykle dały sobotnią rozrywkę taniutką, której bazę stanowiła marna piosenka, a komentarz konferansjera robił Antoni Wasilewski tak zenująco naiwne, że wstyd mi było za znanego wszak felietonistę i ry-sownika. Wróciły także „Listy śpiewające” Agnieszki Osieckiej, które mi się bardzo nie podobały przez swoją pretensjonalność, przez brak piosenki rzeczywistości oryginalnej, przez zagubienie poetyckiego liryzmu na rzecz pospolitej pseudo-liryczności.

Warto byłoby jeszcze podumać chwilę nad koncepcją popularnego magazynu „Po szóstej” — co-róż widoczniej niejednołitą, zgarniającą do jednego wora stereotypowy wywiad, nijaką do-krętkę filmową oraz krytyczny komentarz razem z „Wielokropka”. Nie może zachwycać takie materii przemieszenie i czas by wreszcie zastanowić się twórców, co mają do powiedzenia o młodzieży i dla młodzieży, by przez tę młodzież byli oglądani. Dublowanie sędziwego i nudnego przez to „Tele-Echa” nie ma większego sensu; tak jak nie mają sensu rzekome poszukiwania ograniczone do mało ciekawych eksperymentów formalnych.

KRYSTYNA



## Świat, człowiek, polityka

kres, stąd jej szczególna wartość nie tylko dla studentów.

Janusz Osuchowski: PRAWO WYZNANIOWE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ 1918-1939. Węzłowe zagadnienia. KIW, s. 567, cena 45 zł.

Praca o charakterze przede wszystkim prawniczym, w poszczególnych partiach stać się może również przedmiotem zainteresowania historyków, polityków i działaczy ruchu laickiego. Przedstawia głównie określone instytucje prawne na tle całej złożoności towarzyszących im warunków społecznych i politycznych. Autor ma na celu wyprowadzenie podstawowych wniosków z przeszłości dla potrzeb teraźniejszości w przedmiocie prawnej regulacji spraw kościelnych i religii.

Walery Namotkiewicz: STRATEGIA REWOLUCJI Z perspektywy historycznej. KIW, s. 203, cena 8 zł.

W serii „Problemy, polemiki, dyskusje” praca omawiająca powstanie leninizmu, zwycięstwo rewolucji, ponowną konfrontację i klęskę trockizmu. Próba wyjścia do współczesności. WOKÓŁ TEORII EKONOMICZNYCH „KAPITAŁU”. Zbiór ośmiu prac różnych autorów. KIW, s. 416, cena 45 zł.

W Bibliotece Studiów nad Marksizmem prace omawiające np. marks-

stowskie pojęcie wartości dodatkowej, stosunków produkcji, teorię postępu technicznego, wartości itp. Streszczenie w języku rosyjskim i angielskim.

Rene Stirowski: DAWNI I NOWI. Szkice o literaturze radzieckiej, PIW, s. 204, cena 12 zł.

Autor omawia niektóre aspekty twórczości Aleksandra Fadlejewa, Izaaka Babela, Iwana Katajewa, Mikołaja Tichonowa, Michała Zoszczenki i poprzez innych pisarzy dochodzi do Bułata Okudźawy i Siergieja Zaiłygi-na. Razem 18 szkiców pokazujących rozwój literatury Kraju Rad.

Henryk Bereza: DOŚWIADCZENIA Z LEKTUR PROZY OBCEJ. PIW, s. 311, cena 18 zł.

Po przedstawieniu opinii trzech krytyków na temat teorii literatury prozatorskiej grupuje autor swe uwagi na temat pisarstwa znakomitych prozatorów według przynależności pokoleniowej twórców omawianych dzieł w rozdziałach: Dziadkowie (urodzeni przed rokiem 1880), Ojcowie (w latach 1880-1900), Synowie (w latach 1900-1920) i Wnuki (urodzeni po 1920 roku).

Irena Bielicka: MIŁOŚĆ MACIERZYŃSKA POD MIKROSKOPEM. PZWL, s. 168, cena 15 zł.

W bardzo przystępny sposób napisana popularyzatorska praca znanego psychologa wieku dziecięcego. Odpowiedź na szereg pytań, które nurtują młodych i starszych, ale kochających swe dzieci rodziców.

Bożena Szymulka: SZKOLNE ZE SPOŁY ARTYSTYCZNE W ŚWIETLE BADAŃ Z 1963 R. CPARA, s. 96, cena 20 zł.

Powielona praca obrazująca szkolne zespoły artystyczne jako formę zajęć pozalekcyjnych oraz podająca informacje szczegółowe o pracy zespołów w badanych szkołach podstawowych i średnich.

MASZERUJE WOJSKO. CPARA, s. 114, cena 20 zł.

Jeszcze jedno wydawnictwo CPARA. Zawiera 25 piosenek wojskowych w układzie na 3 i 4-głosowe zespoły wokalne z towarzyszeniem fortepianu.

Sygnowana przez Polską Akademię Nauk, Zakład Historii Stosunków Polsko-Radzieckich oraz Akademię Nauk ZSRR Instytut Słownoznawstwa ukazała się nakładem KIW praca zbiorowa pt. DOKUMENTY I MATERIAŁY DO HISTORII STOSUNKÓW POLSKO-RADZIECKICH, T. VI, s. 500, cena 50 zł.

Tom obejmuje okres od początku 1933 roku do końca 1938 roku, a więc okres szczególnej faszystacji władzy ówczesnej Polski.

Zbigniew Landau, Jerzy Tomaszewski: GOSPODARKA POLSKA MIE-DZYWOJENNEJ. T. I. 1918-1923. W dobie inflacji. KIW, s. 400, cena 55 zł. Szkoła Główna Planowania i Statystyki, Zakład Najnowszej Historii Gospodarczej Polski, w którym opracowana została ta pozycja, planuje całość na cztery tomy, chcąc w nich zawrzeć okres od 1939 roku. Praca podejmuje stosunkowo mało znany o-



# NA NASZYM EKRANIE

## Działa Nawarony

Rzut oka na afisz budzi zainteresowanie dla tego filmu. Gregory Peck, David Niven, Anthony Quinn, Stanley Baker i Irena Pappas — w rolach głównych. Scenariusz pióra Carla Foremana, tego samego, którego praca legła u podstaw takich dzieł, jak „W samo południe” czy „Most na rzece Kwai”. Reżyser — J. Lee-Thompson, autor „Nieletniego świadka” (z Hayley Mills) i bardzo interesującego „U progu ciemności” ze znakomitą kreacją Diony Dors. Wszystko to zapowiada dzieło doświadczonych i znanych twórców, gwarantuje dobrą filmową robotę.

I tak jest istotnie. Wykonawcy głównych ról grają na swoim tzn. dobrym poziomie (czego nie można powiedzieć o aktorach drugiego planu) reżyseria zapewnia filmowi dobre tempo, umiejętnie dawkuje emocje, operator zaś prezentuje mistrzowskie posługiwanie się kamerą, która jest dosłownie wszędzie — na morzu, na skalnych zboczach, w hitlerowskich bunkrach — dzięki czemu widz czuje się niemal uczestnikiem rozgrywanej się akcji.

Jeżeli rozpatrywać film „Działa Nawarony” pod kątem jego rozrywkowej funkcji, widzi się w nim więcej zalet niż wad, usterki polegające na „przejawianiu” pewnych wątków, czy stwarzaniu dość płytkich schematów (oficer SS giną w niepamięci pod wpływem kolejnych, z rozmachem zrealizowanych i trzymających w napięciu epizodów.

Wydaje się jednak, że od wymienionych na wstępie twórców wymagać można więcej niż tylko rzetelnego filmowego rzemiosła. Widać zresztą w filmie próby ukazania pewnych problemów moralnych i społecznych, próby nowego spojrzenia na sprawy wojny i bohaterstwa, niestety giną one w warstwie rozrywkowej utworu, w precyzyjnej, ale obliczonej na gusty i guściki masowego widza według hollywoodzkiej recepty poprowadzonej reżyserii.

Ale nie tylko ta przesadna dbałość o mieszczańską widowność razi w tym filmie. Przywykliśmy do tego, że bohaterstwo w filmach angielskich nie jest bohaterstwem na koturnach. Żołnierze, oficerowie występujący w obrazach produkowanych przez kinematografię brytyjską nie wygłaszają gromkich przemówień, nie recytują hasel, nie podkreślają wagi swoich czynów. Wykonują najtrudniejsze zadania jako zwykły codzienny obowiązek — duty — tak jak robili to w życiu cywilnym podczas pokoju.

Inaczej jest w „Działach Nawarony”, gdzie zresztą Brytyjczykami takimi z tradycji angielskiego filmu — są jedynie David Niven jako Miller i Anthony Quinn jako Franklin; pozostali zbyt żywo przypominają postaci jakby przeniesione z amerykańskich westernów. Otóż w „Działach Nawarony” bohaterowie wykonują nie tyle „duty” — obowiązek, co „job” — robotę. Robotę z podziałem funkcji, specjalności, z obliczeniem różnych wariantów. Taką robotę wykonuje szef placówki angielskiego wywiadu Brown, którego zadaniem jest — jak sam mówi — odprawianie ludzi na śmierć. Raz będą to lotnicy wysłani nad cel, którego nie można praktycznie zbombardować, ale nad którym zginie wielu z nich, drugi raz będzie to zaimprovizowana grupa komandosów mająca wyreczyć pilotów w zniszczeniu 2 niemieckich dział uniemożliwiających okrętom ewakuację angielskiego garnizonu ze śródziemnomorskiej wyspy Kheros. Przy wydawaniu rozkazu Brown jest przekonany, że ludzie ci zginą już w połowie drogi, ale cóż robić, taką jest jego praca.

Komandosi nie zginą jednak na morzu. Zniszczą załogę niemieckiego patrolowca, usiłującą skontrolować ich kuter i dotrą do celu. Oni też działają na zasadzie: każdy robi tylko swoją robotę, to co do niego należy. Jeden ma za zadanie przeprowadzić grupę na szczyt prostopadłej, nadmorskiej skały, zadaniem drugiego jest zabijanie. Kiedy w potyczce tylko rani niemieckiego marynarza — zostanie obrugany przez dowódcę — „Jesteś tu po to, żeby zabijać, więc rób co ci polecono, masz przecież przewisko „Rzeźnik”. Każdy czyni więc swoje. W miarę dokładnie, a nawet pedantycznie (trochę zabawnie, żeby widzieć mógł „odsłaniać się” po chwilach grozy), ale bez przekonania, bez pewności o słuszności swojego postępowania.

Nie podobają mi się tacy bohaterowie. Za bardzo przypominają ludzkie maszynki do zabijania, nie zastanawiające się po co to robią, zbyt przywodzą na myśl innych żołnierzy, tak samo jako robotę traktujących uśmiercanie tybaltów w Adenie, czy w innych resztkach starego imperium.

Człowiek jest bohaterem tylko wtedy, kiedy w podłożu jego niezwykłych czynów leży jakaś idea, przekonanie o słuszności swojej sprawy i z tego punktu widzenia bohaterami w „Działach Nawarony” są: grecka partyzantka Maria i grecki pułkownik Andrea. Inni to złożone z krwi i kości roboty, do których sympatia wzbudzana w nas przez twórców filmu wydaje mi się nawet niebezpieczna.

W. Sz.



DANUTA BOROWIECKA  
— aktorka P. P. Imprez Estradowych w Rzeszowie  
rys. J. SIENKIEWICZ

## Myśli

Prawda jest prawdą także i wtedy, gdy nie ma wyznawców.

Można być filozofem między głupcami; i równocześnie głupcem między filozofami.

Mistrzami w sztuce zdobywania kobiet są zawsze ci, którzy nie są mistrzami w sztuce ich kochania.

Miłość jest jak piosenka. Każdy na swój sposób ją fałszuje.

Do małej miłości wystarczy spryt. Do wielkiej potrzebny jest talent.

W wielkiej miłości nie ma przerw. Są tylko przeskody.

Wincenty Styś  
z Palikówki

## Kalman Segal

### Tysiąc

W kawiarni przysiadł się do mnie jakiś dość sympatyczny człowiek, wytwornie ubrany i budzący zaufanie. Zamieniliśmy kilka słów o pogodzie, po czym on poprosił mnie o pożyczkę tysiąca złotych.

Przypadkowo miałem przy sobie trochę pieniędzy, więc nie wypadało mi odmówić. Dałem mu te dwie pięćsetki i rozmowa stała się serdeczniejsza.

Zapytałem dyskretnie, czym mój nowy znajomy się zajmuje, z czego żyje.

— Właśnie z tego — odparł. — Chodzę i pożyczam. Po tysiąc złotych od lebaka.

— I jak się panu powodzi? — zapytałem współczująco. — Ciężko, co?

— Ciężko — powiedział mój dłużnik. — Ciężko, ale nie narzekam. Można wytrzymać.

Wydarłem kartkę z notesu i poprosiłem o pokwitowanie.

— Po co? — zapytał ze zdziwieniem. — Potrzebne panu pokwitowanie?

— No tak... — przyznałem. — Po co pokwitowanie?

Wypiliśmy kawę, on fundował. Nie pozwolił, żebym ja zapłacił.

— Gdyby panu znowu kiedyś zabrakło... — powiedziałem serdecznie. — Proszę się nie krępować. Proszę przyjść. Jeśli tylko będzie przy forsie.

— Wykluczone! — odparł. — Taki nie jestem. Dwa razy od tego samego gościa nie pożyczam. Taką mam zasadę.

Pożegnaliśmy się serdecznie. Zrobił na mnie doskonale wrażenie, bo to naprawdę był bardzo sympatyczny człowiek.



Jesteś tu po to, by zabijać... Scena z filmu „Działa Nawarony”.

## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

**R. D. RZESZÓW:** Swój wiersz „Późna jesień” zaczyna Pan strofą: „Ostatni zwiastun lata uleciał // Zniknął z placliwym krzykiem daleko // Hen za lasem brzmi jeszcze jego głos // Głos pragnienia „głos protestu”... Nieporadne to, naiwne i wtórne. Właściwie dalsza lektura wiersza jest zbyteczna — od razu można stwierdzić, iż nie ma Pan szans, gdyż ta próba nie rokuje żadnych nadziei na przyszłość w twórczości poetyckiej.

**Ł. S. RADYMNO:** W liście czytamy — „napisałem, ale nie wiem Droga Redakcjo czy dobrze”... Odpowiadamy — bardzo niedobrze.

**W. P. JAROSŁAW:** Wiersze „Myśl zmacona” i „Zagubiony” są zbyt „robione”, zbyt koncepcyjne — brak im liryzmu i bezpośredniości. Widać z nich, że autor sporo czytał poezji, ale niewiele ma do powiedzenia od siebie. Poza tym sporo w nich banalnych kolorków poetyckości, np. wieczorna zorza, purpura barwiąca tchnienie, oczy gwiazdami błyszczące, ust twych kielich zamknięty itd. To świadczy o bardzo złym smaku i braku wyobraźni. Nie warto kontynuować.

**J. D. BOGUCHWAŁA:** Wiersze bardzo tradycyjne w formie, bardzo naiwne i uproszczone myślowo. Zwłaszcza ten łatwy i tani ton piosenkowy jest nie do przyjęcia. Pisze Pani: „Dlaczego mnie dręczysz // Nie zostawisz mnie // I sam siebie męczysz // Ja — nie Kocham Cię // ... I tak aż do końca wiersza...” To samo w wierszu „Wakacje”. Katarynkowy rytm, łatwe, najczęściej gramatyczne rymy oraz zupełnie zdawkowe i banalne sformułowania i przenośnie... Nie skorzystamy.

## ZDARZENIA TYGODNIA

Z dużą niecierpliwością oczekiwaliśmy na wyniki uczestnicy i organizatorzy III etapu konkursu „Więcej bliżej teatru”. Jak nas poinformowano w Oddziale Wojewódzkim Związku Teatrów Amatorskich, województwo rzeszowskie i tym razem uplasowało się w czółwie krajowej (II etap — pierwsze miejsce), zajmując trzecie miejsce po Gdańsku i Opolu.

Wśród laureatów nagród pieniężnych znalazł się Oddział Powiatowy ZTA w Jasle, koło ZMW w Kozdruży, pow. Ropczyce i zespół teatralny w Świętym, pow. Jarosław. Nagrody indywidualne otrzymali: Kazimiera Trybicz, instr. Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krośnie, Kazimierz Kawulka, instr. PDK w Jarosławiu, mgr Janina Juraszewska z Dynowa, Franciszek Pyziński z Podgrodzia, pow. Dębica i Józef Kobak z Niegłowic. Wiele placówek i działaczy otrzymało ponadto nagrody, ufundowane przez Wydz. Kultury Prez. WRN w Rzeszowie.

Nie we wszystkich jeszcze powiatach zostały powołane powiatowe komisje do spraw opieki zakładów pracy nad szkołami. Samo jednak życie (pomijając odpowiednie zalecenia w tej sprawie) dyktuje konieczność koordynacji pozycjach zakładów pracy w dziedzinie opieki nad szkołami, jeśli chodzi o formy pomocy materialnej i wychowawczej.

W tym też celu odbyło się ostatnio w Jasle wyjazdowe posiedzenie wojewódzkiej komisji do spraw opieki zakładów pracy nad szkołami, działającej przy WKZZ w Rzeszowie.

W posiedzeniu, które odbyło się w Zakładach Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego „Pektowin” oprócz działaczy związków zawodowych wzięli udział przedstawiciele władz oświatowych, organizacji społecznych, zakładów pracy i szkół z terenu powiatu jasielskiego.

Głosy, jakie padły podczas obrad, były potwierdzeniem słuszności stwierżeń, sformułowanych na wstępie, a podjęte decyzje zmierzają do usunięcia niedomagań w tym zakresie.

Z okazji 80-lecia Związku Teatrów Amatorskich i IV Krajowego Zjazdu Związku w Krakowie przygotowywana jest ogólnopolska wystawa dokumentów i materiałów, obrazujących tradycje i dorobek amatorskiego ruchu teatralnego.

Wystawę tę w poważnej mierze wzbogacić może ekspozycja rzeszowskiej wystawy pt. „80 lat ruchu amatorskiego wot. rzeszowskiego” oraz materiały archiwum dokumentacyjnego Oddziału ZTA w Rzeszowie. Ekspozycje znajdują się już w Krakowie.

Nielednokrotnie już w tym miejscu odnotowywaliśmy inicjatywę Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, zmierzającej do popularyzacji amatorskiej twórczości artystycznej. O wartości tego rodzaju przedsięwzięcia świadczy chociażby drukowana w tym numerze ocena wystawy prac amatorów plastyków urządzonej przez WDK. Tym razem donosimy o wystawach prac konkursowych podjętych na ogłoszony przez WKZZ z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej konkurs nt.: „Związek Podziękuj nasz sąsiad i przyjaciel”. Zorganizowały te zarządy okręgowe rzeszowskich związków branżowych, a sędzią natomiast otwarta została w Rzeszowie wystawa wstępowa, na której będą prezentowane najlepsze prace nadesłane na wystawę okręgową.

Sporą część publiczności podczas przesłuchania Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego Im. H. Wieniawskiego, który odbył się w Poznaniu stanowiła młodzież z rzeszowskiej Szkoły Muzycznej II stopnia oraz grono nauczycieli. Ci ostatni podzielił się uwagami i spostrzeżeniami z przebiegu konkursu ze swoimi kolegami podczas konferencji dla nauczycieli gry na skrzypcach, zorganizowanej przez Okręgowy Zespół Metodyczny. Sądźmy, że będziemy wyrażać nadzieję, jeśli na tym miejscu wyrażymy słowa uznania dla kierownictwa rzeszowskiej WSK, które udostępniło młodzieży wyjazd do Poznania zakładowym autobusem.